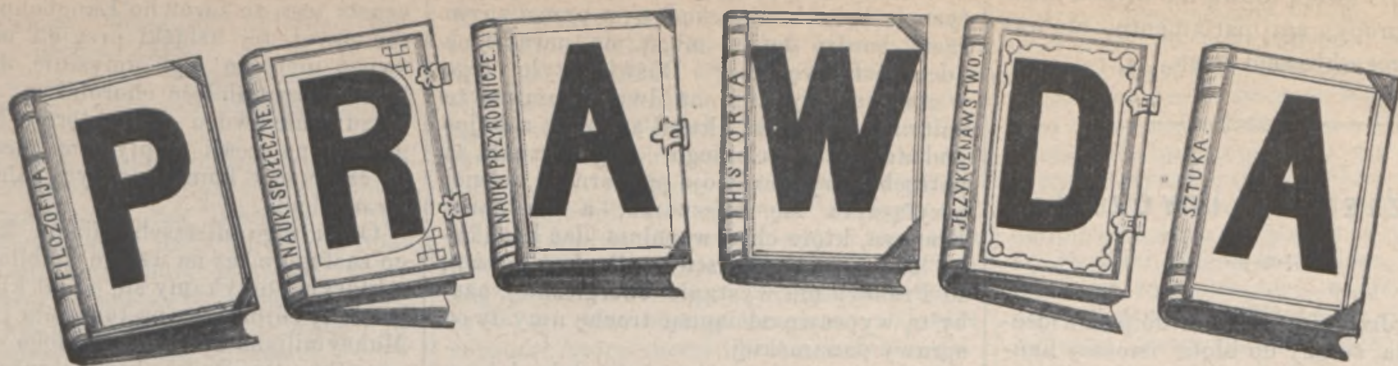
Nr. 3. Warszawa, dnia 21 (9) Stycznia 1893 r. Rok XIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



ZNOWU STRACHY.

Czy łut szczęścia więcej wart, niż funt rozumu—o to można się spierać, ale nie można o to, że ów łut ma swoją wagę i znaczenie w sprawach ludzkich. Jemu i wyłącznie jemu hr. Caprivi zawdzięczać będzie tryumf, jeżeli zdoła przeprowadzić w sejmie projekt reformy wojskowej. Niedawno jeszcze prawie wszystkie stronnictwa nie chciały słyszeć bądź o służbie dwuletniej, bądź o dodanych do budżetu armii nowych milionach, pomimo że kanclerz rzucał na szalę nie funty, ale centnary swojego rozumu. I oto nagle, jak gdyby obstalowana przybyła mu w pomoc zawierucha panamska. Skoro tylko odkrycia łapówek sypnęły się obficie, skoro zaczęły sięgać coraz wyżej i wypiętnowały hańbę na czołach najwyższych dostojników państwa, skoro Rzeczpospolita, sama forma rządu znalazła się w tym ogniu, hr. Caprivi mógł już śmiało przystawić do niego swą pieczeń. Bo jeżeli wulkan, który się wydarł z łona Francyi, może w niej dokonać zupełnego przewrotu, zmienić ustrój i ludzi, stojących na jego czele a nie wiadomo, komu powierzy władzę, to naturalnie Niemcy wobec „nieobliczonych wypadków“ muszą „mieć się na ostrożności.“ Wprawdzie gdyby nawet jutro zasiadł na tronie francuskim Burbon lub Bonaparte, to z pewnością nie uruchomiłby natychmiast armii przeciw sąsiadom, ale w polityce nie wyrabia się strachów z materyału trwałego. Wystarczy pozór, pogłoska, zmyślenie, t. zw. „chmura.“ Bismark wydusił w sejmie zgodę na pomnożenie wojska nadgranicznymi „barakami,“ które nigdy nie istniały; czyż można brać za złe jego następcy, że skorzystał ze sprawy panamskiej? Była to zbyt mocna karta w trudnej grze z przeciwnikiem, ażeby jej nie miał użyć.

Dla lepszego skutku zmieszał ją z innymi. Przemawiając w komisyi sejmowej, obradującej nad projektem wojskowym, nakreślił szeroko obraz obecnego położenia międzynarodowego, oświetlony słońcem pokoju przez „chmury.“ Nie wyraźnie, ale domyślnie nasunął możliwość wojny na dwu frontach bez sprzymierzeńców, z czego słuchacze musieli wyciągnąć wniosek, że sojusz troisty nie jest związkiem nierozerwalnym i że Niemcy powinny przygotować się także na wypadek prowadzenia wojny samodzielnie. Proste zaś dodanie sił „dwufrontowych“ przekonywa, po czyjej stronie byłaby olbrzymia przewaga, a zatem... Dośpiewać tę pieśń według Capriviego można tylko przyjęciem projektu rządowego. Kanclerz nie potrzebował się obawiać, że kwestyonując moc trójprzymierza, obrazi przyjaciół i wspólników; z pewnością bowiem zanim wystąpił ze swą mową, przesłał do Wiednia i Rzymu właściwy wykład jej znaczenia, a tam oceniono należycie jego pobudki i uświęcono środki celem. Od wschodu tedy i zachodu Niemcy są zagrożone, a na sojuszników liczyć nie mogą. Nie dość tego, nawet Dania grozi im z północy, pamiętna swych strat i porażek. Osaczone ze wszech stron, patrzą teraz z większym jeszcze niepokojem na Francyę, targaną wrzeniem panamskiem. Bo któż zaręczy, że z powszechnego zamętu nie wydobędzie się tam dyktator, który chcąc okiełznać wzburzone żywioły i skupić je koło siebie, wypowie wojnę Niemcom? Więc muszą one, co prędzej muszą powiększyć swoją armię.

Taki był bieg myśli a raczej wyrazów hr. Capriviego. Tu i owdzie wznieciły one popłoch. Zwłaszcza Dania zaczęła się uroczyście wyprzysięgać wszelkich wojowniczych zamiarów. Naiwniejsze pisma włoskie i austryackie podniosły krzyk o zachwiane i pękające przymierze. Tymczasem wtajemniczeni w mechanizm grzmotu kapłani rozśmiali się kryjomo, bo wiedzieli, że „chmury na widnokręgu politycznym“ są malowane, a strachy wywołane latarnią czarnoksięzką. Szło o przełamanie oporu stronnictw nieprzyjaznych rozwojowi militaryzmu. Mielibyśmy bardzo błędne wyobrażenie o dojrzałości umysłowej i politycznej przeciwników parlamentarnych hr. Capriviego, przypuszczając, że dadzą się złapać na plewy. Bynajmniej, przewidują oni doskonale taktykę kanclerza i pojmują, dla czego on nałożył tak ciemne barwy na obraz położenia Niemiec. Ci panowie nie pozwolą się obałamucić groźbami, ale potrzebują, ażeby zdurzono ich mocodawców. Gdyby uchwalili nowe podatki i nowe ciężary wojskowe na proste żądanie monarchy i jego ministrów, wyborcy mogliby żywić do nich urazę i cofnąć im później swe poparcie. Skoro zaś kanclerz przedstawił położenie jako budzące obawy, ułatwił posłom stanowisko wobec narodu. Będą oni mieli dobrą wymówkę, gdy rzekną do swych ziomków: Z bolejącem sercem zdecydowaliśmy się w imieniu waszem na tę ofiarę, ale była ona nieunikniona. Ojczyzna nasza znajdowała się w poważnem niebezpieczeństwie. Gdybyśmy odmówili rządowi środków na obronę zagrożonego zewsząd kraju, ściągnęlibyśmy na niego okropne następstwa. Poufne zwierzenia i wyjaśnienia kanclerza nie pozwoliły nam się wahać. Odtąd żyć będziemy biedniej, ale bezpieczniej.

Tak powiedzą do swych wyborców konserwatyści różnych odcieni, narodowo-liberalni, po części ultramontanie, słowem wszyscy, którzy dadzą swe głosy za projektem rządowym. Czy głosy te utworzą większość w sejmie, dotychczas nie wiadomo, gdyż przedstawiciele stronnictw zasadniczo opozycyjnych (postępowcy i demokraci), którzy nietylko siebie, ale i ogół wyłączają z pod wpływu tego „poddawania myślowego,“ psają rządowi komedyę i niemiłosiernie ścierają malowane strachy. Nie kusząc się o wróżby, chcieliśmy tylko stwierdzić

że hr. Caprivi swoją mową nie myślał straszyć ani Europy, ani parlamentu, ale naród, do którego kieszeni sięga.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bardzo łatwem było do przewidzenia, że gdy do błota istotnej hańby potwarz zacznie dolewać swe oszczerstwa, bagno panamskie dosięgnie nawet Carnota. Andrieux, który gra taką rolę w „odkryciach," jaką słynny Hertz grał w „przykryciach," puścił w obieg kilka krzywdzących półsłówek przeciwko prezydentowi Rzeczpospolitej, który miał wiedzieć dawno o wszystkich szachrajstwach i łapówkach. Gdy to nie poskutkowało, ogłoszono list Carnota z przed 10 laty, wyrażający się przychylnie o Hertzu, jak gdyby obowiązkiem człowieka uczciwego było przenikać na wylot duszę każdego łotra i jak gdyby wielu oszustów nie cieszyło się sympatyą ludzi prawych. Najmita i niepoń paryzki, *Figaro* zaproponował natychmiast „oskarżonemu," ażeby się zrzekł swej godności. Naturalnie Carnot, już nie we własnym, ale ogólnym interesie nie usłucha rady łapownika panamskiego, który nie stracił tylko bezczelności.

Grad oszczerstw dotknął również posła francuskiego w Berlinie, Herbette'a, oraz b. posła włoskiego w Paryżu, Menabreę, którzy mieli być również przekupieni. Pierwszy z nich odparł zniewagę, w obronie zaś czci drugiego stanął sam rząd francuski, wyraziwszy przedstawicielowi władz swoje ubolewanie. Ponieważ zaś krzywdzące plotki tego rodzaju rozszerzyło po świecie kilku korespondentów zagranicznych, więc głównie winnych (węgierskich i niemieckich) wydalano z Paryża, a jednocześnie rząd wniósł projekt, któremu Izba przyznała nagłość, do prawa, nakładającego surowe kary prasowe za obrażenie monarchów i ambasadorów państw obcych. Pośpiech, z jakim tę sprawę podjęto, zdradza jakieś bardzo ważne pobudki.

Oskarżyciele i odkrywcy łapówek postawili także pod pręgierzem bezimiennie jedną gazetę ruską i jednego b. dyplomatę ruskiego. Otóż syn redaktora *N. Wremia* i p. Tatiszczew, którzy uznali to posądzenie za skierowane przeciw nim, stanęli przed komisyą panamską i zadali mu kłam stanowczo, żądając odpowiedniej rehabilitacyi.

Władcy afrykańscy muszą w swej polityce naśladować linochodów, w przeciwnym razie bardzo łatwo mogą się narazić na „demonstracyę flot." Doświadczyło tego w zeszłym tygodniu aż dwu. Pomimo że sułtan marokański ukarał śmiercią zabójcę poddanego angielskiego, Anglia uznała za potrzebne wysłać swoje pancerniki; do niej przyłączyła się Hiszpania, a następnie Francya, które chcą wspólnie dać królikowi lekcyę posłuszeństwa. Słychać nawet, że Francya ma wystąpić energiczniej, ażeby tą wyprawą odciągnąć trochę umysły od sprawy panamskiej.

Bez niczyjej pomocy Anglia dała lekcyę młodemu kedywowi egipskiemu. Od chwili jego wstąpienia na tron twierdzono, że postanowił wyzwolić się z pod uciążliwej opieki Johna Bulla i pragnie rządzić samodzielniej, niż jego ojciec. I oto teraz przekonał się dowodnie o różnicy marzeń z rzeczywistością. Zamianowawszy nowych ministrów, otrzymał od posła angielskiego naganę z żądaniem, ażeby ich bezzwłocznie usunął, gdyż nie ma prawa wybierać sobie ministrów bez pozwolenia Anglii. Nie było rady; biedny kedyw musiał odprawić świeżo utworzony gabinet i ukorzyć się przed „protektorką." Teraz zaś widzi, że przez to ustępstwo więcej stracił na powadze i znaczeniu, niż gdyby był tajemnie porozumiał się z rządem angielskim. Na drugi raz będzie mądrzejszy — po szkodzie.

LITERATURA I SZTUKA.

NIETZSCHEANIZM.

III.

Więcej czemś, niż naśladowaniem jest dzieło, które wyszło w tym roku także bez nazwiska autora, p. t. „Vox humana," a które cieszy się również znacznem, chociaż mniejszem powodzeniem u publiczności. Napisał je w każdym razie człowiek myślący samoistnie. I on dotyka wszystkich możliwych zagadnień, stawia i rozwiązuje kwestye najróżniejsze w duchu etyki Nietzschego. Rozwiązania te, czasem trafne, czasem zaś wymuszonej nieco oryginalności, mają tę zaletę, że są zrozumiałe mimo ich formy aforystycznej, co nie zawsze powiedzieć można o zdaniach Langbehna. Charakterystycznem jest, że zarówno Langbehn, jak i autor nowej tej książki przyjęli od mistrza swego nietylko styl umyślnie dziwaczny, lecz i zarozumiałość chorobliwą, zuchwałe wysuwanie swego „ja," które u Nietzschego było po części wypływem mesyanizmu, po części zaś konsekwencyą całego sposobu myślenia.

Obok tego nietzscheanizmu książkowego zasługuje też na uwagę publicystyczny, z którym spotykamy się od lat kilku. Najbardziej zajmującą na tem polu jest postać Maksymiliana Hardena, byłego współpracownika tygodnika berlińskiego *Die Gegenwart* a obecnego wydawcy czasopisma *Die Zukunft*, założonego przezeń w roku zeszłym. I o nim powiedzieć można, że stworzył nowy rodzaj w publicystyce, czego najlepszym dowodem to, że ma licznych naśladowców. Zastosował on sposób pisania Nietzschego symboliczny i aforystyczny do — artykułów dziennikarskich, w które wtłacza nadto ogromną ilość faktów, porównań i anegdot historycznych, zaczerpniętych z zapasu wiedzy istotnie zdumiewającego. Całość dziwaczną powstałą w ten sposób okrasza dowcipem zjadliwym i ożywia szalonym temperamentem polemicznym, którego śmiałość nie zna granic.

Nie zatrzymałem się tu jednak przy nazwisku Hardena dla niepospolitych jego zdolności, które wyrobiły mu w krótkim stosunkowo czasie, bo w przeciągu kilku lat, sławę pierwszego publicysty niemieckiego, lecz dlatego, że w pismach jego znajduję najlepszy i jedyny może przykład nietzscheanizmu, stosowanego do spraw praktycznych codziennego życia prywatnego i publicznego.

Otóż przykład ten dostarcza nam dowodu na to, o czem przekonamy się zresztą jeszcze przy innej sposobności, że nietzscheanizm nie jest poglądem obejmującym całokształt stosunków życiowych, że nie wystarcza własnym swym zwolennikom, którzy dla różnych zagadnień szukać muszą rozwiązania u innych teoryj, czasem wprost przeciwnych.

Dwoistość zapatrywań i dążności jest tedy cechą nietzscheanizmu praktycznego. Występuje ona widoczniej u szlachetniejszych przedstawicieli tego kierunku, jak właśnie u Hardena, niż u zwolenników, obdarzonych mniejszą bystrością umysłu, jak np. u antisemitów, którzy mienią się czasem uczniami Nietzschego i twierdzą, że w imię zasad mistrza tępią rasę słabszą, żyjącą wyłącznie rozumem, pozbawioną silnych popędów, a przeto najbardziej oddaloną od typu „nad-człowieka." Zawsze jednak dwoistość tu istnieje i nadaje kie-

---

PRZYJACIEL.

Przed nami stał stół marmurowy, zimny w dotknięciu i lepki od płynów, co na nim pozasychały. Któraś już z rzędu butelka stała na stole. Siedzieliśmy w kąciku, otoczeni gwarem i dymem tytuniowym, ogłuszeni i odurzeni. Rozmawialiśmy urywanemi zdaniami, głośno, bez obawy, że nas ktoś podsłucha. Czasem zabrzmiał śmiech, ale krótki, jak brzęk rozpryskującej się na kamieniu szklanki. Twarze się uśmiechały, w sercach jednak nie było wesoło. Usta tryskały zjadliwym, szyderczym humorem.

Żonaty, odwykłem już nieco od knajpy, ale nie mogłem mu się wymówić, gdy go spotkałem włóczącego się po ulicach z miną desperacką, w taki dżdżysty, jesienny wieczór. Moje zaproszenie odrzucił. Gdybym sam, jak ongi, z samowarem mieszkał — to jeszcze, choć on potrzebował ludzi i ich gwaru koło siebie. Do wizyty nie był usposobiony. Chciał być swobodnym, i nogi na drugi stołek wyciągnąć. Żegnał się już. Żal mi go było porzucić — poszliśmy.

W knajpie poczuł się jak u siebie. Czekano też tu na niego. Stolik papierem nakryty, talerz i serwetka sztucznie jakoś zwinięta. Chłopak stanął przy nas w tej chwili.

— *Pamdonóg, pamdonóg* panu mecenasowi... zaraz, zaraz... specyalne, specyalne...

Uśmiechnął się do łobuza i wydał dyspozycye. I ja chciałem *coś kazać*, ale chłopak spojrzał na mnie z szyderczym uśmiechem, jak na gościa, gospodarującego się w cudzym domu.

Ot zagadałem się. Opowiadam historyę od Adama i Ewy, a dalibóg będę musiał przeskoczyć. Wiem, że zasiadłszy, mówiliśmy o mojej praktyce, o jego powodzeniu, potem któryś aktor przysunął się przed oczy, zeszliśmy na teatr i artystki... Jakim cudem wpadł na temat opowieści, którą chcę powtórzyć, nie mogę sobie przypomnieć.

Nie wymienię osób ani miejscowości, bo je zamilczał.

Miał przyjaciela. Nie długo się znali, ale kochali szczerze. Był to starszy człowiek, czysty jak kryształ, choć nie orzeł. Żonę jego znał z dawna. Ot zwyczajnie kobieta, oczkowali z sobą kiedy jeszcze była panną, nie zbliżyli się jednak nigdy. Wacław nie zwracał na nią zbytniej uwagi, bo miał łupu dość, bliżej i łatwiejszego. Może to było powodem, że — nazwę ją Desdemoną — zalotnem oczkiem rzucała nań niekiedy. Wyszła za swego Otella i szczęśliwi byli — *dzietni*.

Wacław, otwierając kancelaryę, był nieco w kłopotach pieniężnych, Otello należał do pierwszych jego klientów.

Zbliżyli się, Wacław wsparł Otella radą, Otello Wacława pieniędzmi, dogadzali sobie wzajem i przyjaźń rosła. Jednego lat zaproszono Wacława na wieś — pojechał do nich.

W mieście człowiek bezpieczniejszy, bo na wsi z nudów wprost głupstwa się robi. W jej twarzy łatwo było czytać, toż i wyczytał, że porównywa go ze swym mężem i że szale na jego stronę się ważą. Co prawda, to w tego rodzaju porównaniach obc

runkowi całemu charakter objawu przejściowego, tymczasowego.

Do tego samego wniosku dojdziemy, przypatrzywszy się nietzscheanizmowi skandynawskiemu.

Nie mówiłem o nietzscheanizmie w beletrystyce niemieckiej, gdyż trudno mówić o literaturze, której brak literatów. „Najmłodsza Germania“ jest tak pozbawiona talentów, choćby drobnej miary, że — jak już zauważył tu niedawno współpracownik *Prawdy* — trudno śledzić bieg prądów jakichkolwiek w tej mętnej sadzawce.

Kraje skandynawskie są natomiast, jak wiadomo, w tem szczęśliwem położeniu, że posiadają autorów wybitnych, którzy w dziełach swych bądź to wskazali społeczeństwu swemu drogę, bądź też podali mu zwierciadło. Jeśli więc mamy szukać poglądów nietzscheańskich w tych krajach, wystarczy poszukać ich w literaturze.

Nie wiem, wśród jakich okoliczności i w którym roku publiczność szwedzko-norwegska lub duńska poznała po raz pierwszy myśli filozofa niemieckiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że stało się to już dawno i że poglądy Nietzschego były tam rozpowszechnione, zanim udało im się zapuścić korzenie w gruncie niemieckim. To też pierwszym, który przyczynił się skutecznie do zapoznania ogółu niemieckiego z nazwiskiem i dziełami Nietzschego, był—Brandes.

Można więc przypuszczać, że autorowie skandynawscy stoją oddawna pod wpływem dzieł filozofa-poety. Choćby jednak tak nie było, choćby poglądy jednego lub drugiego z nich rozwinęły się były niezależnie od słynnej „etyki niemoralnej,“ nie zmieniłoby to samego stanu rzeczy, którego nie można określić inaczej, jak mówiąc, że cała najnowsza literatura skandynawska przesiąknięta jest nawskróś nietzscheanizmem.

Weźmy np. najsławniejszego jej przedstawiciela — Ibsena. To już nie podobobieństwo, lecz chyba tożsamość. Nietylko myśli przewodnie głównych dramatów, ale nawet całe zwroty z nich możemy odnaleźć w dziełach Nietzschego. Jeżeli po przeczytaniu jego „Rodowodu moralności“ („Zur Genealogie der Moral“) weźmiemy do rąk „Cezara i Galilejczyka,“ „Branda“ lub „Rosmersholm,“ zdawać nam się będzie, że czytamy tę samą rozprawę po raz drugi w formie dramatycznej. Dla obu ideałem jest człowiek silny, dumny, wyswobodzony z więzów, którymi krępowały go pojęcia „miłosierdzia“ i „powinności,“ człowieka, który chce być szczęśliwym i posiada dość „odwagi,“ aby to szczęście zdobyć sobie kosztem życia lub szczęścia istoty słabszej.

W jednym punkcie wszakże dostrzedz można różnicę. Gdy Nietzsche, jako apostoł nowego dramatu, wygłasza zasady swe z podniesionem czołem i w tonie tryumfującym zapowiada ludzkości przyjście Mesyasza, Ibsen, jako poeta, mający oblec zasady te w postacie ludzi współczesnych, świadomie lub nieświadomie odkrywa zawsze charakter ich przejściowy i wskazuje na dwoistość uczuć, jaką wywołać one muszą w sercu ludzkiem. Dlatego los bohaterów jego jest zawsze tragiczny. Cesarz rzymski, który chciał wydrzeć ludzkość galilejczykowi i wrócić ją dawnym bogom piękności, szczęścia i egoizmu, umiera złamany wewnętrznie, a pastor Rosmer, który szukał szczęścia w miłości występnej i poświęcił dla tego szczęścia życie swej żony, ginie w końcu z własnej ręki wraz z kochanką.

Najjaśniej występuje myśl ta w najnowszem dziele Ibsena — jeśli można użyć wyrazu „jasność,“ mówiąc o dramacie, w którym każda osoba jest żyjącą alegoryą, a każde słowo obok zwykłego znaczenia posiada jeszcze sens drugi ukryty. W dramacie tym p. t. „Budowniczy Sollness“ dzieją się na pozór rzeczy dość zwykłe. Budowniczy ów jest człowiekiem o silnej woli i brutalnym egoizmie, wyzyskującym swych pomocników w sposób bezwzględny i nadużywający bezkarnie przewagi, którą posiada dzięki demonicznej sile woli nad swem otoczeniem. Jak to czasem bywa, trafia i tu kosa na kamień: budowniczy ów spotyka pannę, obdarzoną jeszcze silniejszą i „bardziej demoniczną“ wolą, niż jego własna i rozkochuje się w niej. Ponieważ zaś jest zakochany, przeto ulega kaprysowi panny Hildy Wangel i chociaż wie, iż narazi się na zawrót głowy, wyłazi na wysokie rusztowanie, przyczem spada i zabija się.

Pytacie, w jakim związku ta historya stoi z nietzscheanizmem? Proszę przystąpić bliżej o krok i przypatrzeć się dokładnie postaciom tej sztuki. Jak na owych starożytnych obrazach bizantyńskich, których sztywne figury symboliczne mają umieszczone na czołach napisy, tak i tu znajdziemy w ustach pojedynczych osób stało zwroty i wyrazy, mające tłomaczyć nam ich znaczenie.

Myśleliście może, że bohater tego dramatu jest zwykłym śmiertelnikiem, rysującym plany i układającym kosztorysy? Bynajmniej, Solness jest właśnie owym „człowiekiem wolnym,“ o którym marzą zarówno Nietzsche, jak Ibsen. Przedstawia on nie mniej i nie więcej, jak ludzkość, której udało się złamać jarzmo pojęć moralnych. Jest on egoistą świadomym, gdyż czuje się silnym i przekonanym o tem, że siła ta uprawnia go do wszystkiego. Wie, że woli jego nie mogą oprzeć się ani pomocnik jego Ragnar, ani narzeczona tegoż Kaja i dla tego utrzymuje ich jako istoty słabsze w stosunku niewolniczym, wyzyskując ich pracę, zamykając im wszelkie drogi do samoistności. Sławę genialnego architekta okupił zdrowiem swej żony i życiem dzieci. Spalił bowiem stary dom, w którym mieszkał, żeby na jego miejscu postawić nowy, piękniejszy. Pożarem tym przyprawił żonę, która właśnie powiła mu była bliźnięta, o ciężką chorobę, a dzieci nowonarodzone zabił.

Znając główne słowo rozwiązania zagadki, możemy teraz łatwo domyśleć się reszty. Jeśli Solness jest przedstawicielem nowego czasu, to jego żona jest — przeszłością. Dom stary, spalony, był jej własnością, jak słyszymy w dramacie, i mimo najlepszej chęci nie może ona przyzwyczaić się do nowego mieszkania, wybudowanego dla niej przez męża, lecz tęskni zawsze za domem. Pożar ów — to rewolucya przeszłego wieku, bezdzietność małżeństwa Solnessów — to bezpłodność moralna naszego stulecia itd.

Od czasu owego pożaru Solness nie buduje kościołów, lecz tylko domy mieszkalne. Nie zaspokaja to całkiem jego potrzeb artystycznych, brak mu czegoś — chciałby mieć wieże na tych domach, tak samo, jak ongi na kościołach, które stawiał. Przetłomaczmy zaraz: czas nasz stracił uczucie religijne, lecz nie może też zadowolić się materyalizmem.

Solness nie jest szczęśliwym mimo powodzenia. Zwierza on się z tem przed Hildą Wangel, ową panną „demoniczną“ i wyznaje jej, że nie może pozbyć się myśli o istotach słabszych, które zgniótł i zgniata codziennie. „Musisz pan mieć sumienie słabowite“ — odpowiada Hilda Wangiel. „Cóż to takiego, u dyabła, słabowite sumienie?“ — pyta Solness zdziwiony. „To znaczy — mówi Hilda — że sumienie pańskie jest delikatne, zbyt delikatne, tak, że nie może ono wytrzymać bez boleści żadnego wstrząśnienia.“ „Jakiemże powinno być właściwie sumienie?“ — pyta Solness dalej. „Powinno ono być silne i zdrowe, aby nie odbierało nam odwagi do tego, czego właśnie pragniemy. Czy czytał pan kiedyś podania o Wikingach, którzy na okrętach swych docierali do krajów dalekich, a tam wysiadłszy na ląd, palili domy mieszkańców, mężczyzn zabijali, a kobiety brali w niewolę... Ci ludzie mieli zdrowe sumienie.“

Nie potrzebujemy tłomaczyć tego miej-

---

zawsze ma przewagę nad mężem. Mąż to człowiek obnażony, a obcy chodzi w masce, Wacława gra bawiła i maskę nosił szczelnie. Tamten był *sans façon*, on był *correct*. Tamten wygodny, on usłużny. Tamtemu dobrze z tem było, w przyszłość ani jeden, ani drugi nie patrzył.

W Wacławie powoli krew grać zaczynała. Pamięta, jak pojechali gdzieś w sąsiedztwo na kawalerskie śniadanko. Otello podchmielił sobie, Wacław to spostrzegł, a chyba też był pijany, bo nie zdawał sobie sprawy z swych czynów. Otella spoił, a sam został *correct*.

Wrócili do domu, Otello spać poszedł. Przechodząc chciał jeszcze żonę pocałować, ale usunęła mu się. Zatoczył się i mało nie przewrócił. Nie stracił jednak miny, z rubasznym żartem na ustach, gwiżdżąc, wyszedł.

Zostali we dwoje. Wacław sądził, że zostaną — na to liczył. Nadąsana i zła była. Zła nie na męża, bo kaduk zrozumie te kobiety, ale na niego. Zapewne o to, że się nie upił, że się nie zatacza. Miała jakąś nader pilną robotę, to w śpiżarni, to w kuchni... wreszcie dziećmi się otoczyła — robactwem drobnem. Wacław, który się do domowych liczył, łaził za nią jak cień. I on zły był. Może sumienie gryzło go nieświadomie, a może opór rozdrażnił. Docinać sobie zaczęli z uśmiechem. Rozbawione dzieciaki igrały między nimi, skacząc to jej, to jemu na kolana, walka na języki szła ostro.

Przetrwało to nazajutrz, trzeciego dnia itd., może tydzień. Małżonek, któremu, zda się, dano porządny kapelusz, skruszony i nadskakujący, pytał ich czasem prosto z mostu:

— Czego wy się żrecie?

Wacław nazajutrz odjeżdżał, Otello na ukoronowanie przyjęcia urządził wycieczkę. Bliska rozłąka zaprowadziła między nimi zgodę. Ona była znowu zalotna, on tkliwy, ona chwilami marzyła, dokończenie miało nastąpić w domu i Wacław łamał głowę, jak sobie zapewnić powrót we dwoje. Otello mu pomógł.

— Wy się dziś nie żrecie, to jedźcie razem wolantem.

Zostali na samym końcu orszaku. Przed nimi na wysokim koźle tyłem odwrócony stangret, po za nimi nikogo, a padały mroki. Rozmarzeni byli i sami, patrzyli sobie w oczy. Jak on wyglądał, nie wie. Jej pierś dyszała, lica pałały, oczy żarem zionęły — zdawało mu się, że sama rzuci się w jego objęcia.

. . . .

Przerwał i o cygara zawołał, a rozgrzany był wspomnieniem, jakby teraz siedział w owym wolancie.

— Wiem już — rzeknę mu — co cię gryzie. Rozumiem, że takie wspomnienie może dolegać.

— Nic nie wiesz — odparł. Nic nie rozumiesz. Posłuchaj!

Słuchałem, a on mówił ze zmienioną już twarzą, spokojny.

— Historyę, o jakiej ty myślisz, schowałbym dla siebie, nie byłoby się czem chwalić. Tu było inaczej. Co się ze mną działo, nie wiem. Jakie mną moce rządziły?.. Ująłem ją za ręce, chcę wyrzec *moja*, powiedziałem — *pani*. I ten tylko wyraz przytoczę ci dosłownie z mej przemowy. Reszty słów nie wiem. Zaraz wtedy, nie potrafiłbym ich powtórzyć. Sens pamiętam. Znaczyło, że jest... ladacznicą. Szczęściem droga była krótka. Rozsunęliśmy się, ile było można, jakby z obawy wzajemnego powalania się. Zacinała zęby i łzy ciekły

sca. Jest to — jak widzimy — niby cytata z dzieł Nietzschego.

Kim jest więc ta „demoniczna“ Hilda Wangel i jaką rolę odgrywa ona w wielkiej alegoryi dramatycznej Ibsena? Odpowiedź łatwa: jeśli Solness jest czasem naszym, a żona jego przeszłością, to Hilda Wangel jest przyszłością, przedstawicielką owego pokolenia „nadludzkiego,“ które potrafi urzeczywistnić na ziemi ideały etyki „niemoralnej.“ Dla tego to słyszymy z ust jej, gdy żona Solnessa wspomina bezustannie o „powinności,“ następujące słowa: „Powinność? Nie znoszę tego słowa. Ma ono dla mnie dźwięk ostry i zimny...“

Solness urzeczywistnił wreszcie dawne swe marzenia. Wybudował dla siebie dom, na którym postawił olbrzymią wieżę. Hilda Wangel chciałaby zobaczyć go na szczycie tej wieży z wieńcem w ręku. Nie mogąc oprzeć się jej życzeniom, wdrapuje się po rusztowaniu aż do samego szczytu, lecz stamtąd strąca go nagły zawrót głowy. To znaczy: ludzkość teraźniejsza potrafiła stworzyć sobie nową etykę zamiast dawnej religii, lecz nie umie jej jeszcze używać. Czas nasz jest genialnym architektem, który wznosi mieszkania dla przyszłych pokoleń — nie dla siebie...

Takim jest nietzscheanizm Ibsena. Z podobnymi poglądami spotkać się możemy w dziełach Strindberga, Hanssona i innych wybitniejszych przedstawicieli literatury skandynawskiej.

We Francyi, jak dowiaduję się właśnie, Barrès zajmuje się obecnie tłomaczeniem dzieł Nietzschego. A więc i nad Sekwaną dziwny ten ruch umysłów uwidocznił się w tym roku i kto wie, czy po kilku latach nie będzie można mówić o nietzscheanizmie francuskim.

Jakim jest więc — musimy zapytać w końcu — cel ostatni, do którego dążą wszyscy ci ludzie, różnemi wprawdzie drogami, lecz pod wspólnem hasłem? Czego chcą ci apostołowie nowej etyki, czego spodziewają się oni po owem „nadludzkiem“ pokoleniu, o którem marzą? Jak ma wyglądać według ich wyobrażeń, społeczeństwo, urządzone w duchu zasad „niemoralnych“? Czy ruch ten, wzrastający od lat kilku, a objawiający się tak różnorodnie w życiu i w sztuce, potrwa jeszcze długo, czy też przeminie wnet, nie przybrawszy kształtów wyraźniejszych i bardziej uchwytnych, niż dotychczas?

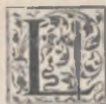
Na wszystkie te pytania niemożliwem byłoby znaleźć dziś już odpowiedź stanowczą.

Ego.

„GOETHYZM“

W LITERATURZE FRANCUSKIEJ.

M. Barrès, *L'ennemi des lois*. Paryż, 1893.



Literatura francuska posiada całą plejadę pisarzy delikatnych i subtelnych, jak Huysmans, Rod, Hervieu, Barrès, którzy na rynku zaćmieni zostali przez gwiazdy wrzekomo jaskrawsze. A szkoda! Zola ma niewątpliwie wielkie zasługi, ale jaki on trywialny! Bourget, zaopatrzony we wszystkie skalpele i odczynniki psychologii, nie może w żaden sposób wydostać się z błędnego koła cudzołóztwa. Ach, te wieczne „adultere'y“ z ich barbarzyństwem, filisterstwem, grubiaństwem! Jaki on ckliwy, ten „cochon triste!“ Daudet, nigdy nudny i zawsze dowcipny, ale w poglądach tak ograniczony, iż podziwiać trzeba, jak on się „uchował“ w literaturze francuskiej. Jego miejsce naturalne jest w jakimś zaścianku, gdzie obok Prusów i Sienkiewiczów błyszczałby gwiazdą pierwszorzędną. Prawdziwą swą miarę dał w ostatniej swej powieści „Rose et Ninette,“ gdzie jest, jak zwykle, wesoły, zajmujący, ale niesłychanie płytki. Nie mówimy już o takich safandułach, jak Coppée, który umie zawsze wykroić z podmiejskiego życia jakąś sielankę „prawdziwie bogatych“ sklepikarzów i chłopków, wyciskającą łzy melancholicznym meklerom giełdowym i sentymentalnym kokotkom *).

Rzecz dziwna, a raczej naturalna, wszyscy ci pisarze pochłaniają całą uwagę ogółu, która rzadko tylko i przypadkiem skierowywa się na takich artystów, jak Huysmans lub Barrès. Zwłaszcza ten ostatni budzi wielkie nadzieje. Psycholog — tylko nie cudzołóztwa — roztrząsa on wszystkie sprawy, które interesują myślącą i cierpiącą ludzkość, w sposób nadzwyczaj subtelny i wytworny. Potrąca on wszystkie sprężyny „duszy współczesnej,“ nie pozostają mu obce żadne jej dolegliwości, tęsknoty i dążenia, rozkoszuje się w olbrzymich widnokręgach umysłowych, moralnych i społecznych. Umie nareszcie pomieszczać swe obrazy w kunsztownych ramach artystycznych i psychologicznych beylizmu lub renanizmu. Chodzi o to, iż każdy wielki twórca jest, niby ciało niebieskie, otoczony odrębną zupełnie atmosferą: Barrès dotychczas najchętniej krążył koło takich gwiazd pierwszorzędnych, jak Stendhal i Renan. Obecnie stara się on odświeżyć powietrze, duszne istotnie, literatury francuskiej, wpuściwszy w nią świeży zupełnie powiew „goethyzmu.“ Jeżeli o kim można twierdzić, że posiada odrębną atmosferę, to głównie o Goethem. Goethe to świat cały. Każdy badacz takiego świata ma prawo pojmować go w sposób zupełnie oryginalny. Tak też uczynił Barrès. Bohater jego ostatniej powieści, André Maltère, jest goetyjczykiem, pomimo iż różni się od swego pierwowzoru w wielu zasadniczych rysach. Goethe był wysokim dygnitarzem i umiał wiernie służyć. Maltère w walce za nieograniczoną swą niezależność traci odrazu docenturę. Pierwszy jest w stosunku do drugiego wstecznikiem, ale nie chodzi tu o szczegóły przekonań, lecz o ogólną organizacyę duchową: a więc oba są intelektualistami: wszystko pojąć, wszystko zrozumieć, to główna ich namiętność; oba są dyletantami, w najlepszem tego słowa znaczeniu: posiadają nienasyconą ciekawość wszelkich wrażeń i uczuć, stąd olbrzymie przywiązanie do życia, we wszystkich jego kształtach, nawet w cierpieniu — jeden z bohaterów Słowackiego nie chce umrzeć w obawie, iż jest jeszcze gdzieś ton, którego nie słyszał; nareszcie oba posiadają ten boski smak czynu, który Goethe unieśmiertelnił w swym Mefistofelesie i który pcha A. Maltère'a do urzeczywistnienia nietylko swych przekonań, ale nawet zachceń i kaprysów. Ogólny mechanizm duchowy jest jednaki u obu, znajduje się tylko w różnem otoczeniu i wydaje różne skutki. Bourget, krytykując ostatnią powieść Barrèsa, odmawia jego bohaterowi cechy goethyzmu, na zasadzie różnicy przekonań. Jest to punkt widzenia nadzwyczaj jednostronny. Psychologia ma prawo zaliczyć do jednego typu ludzi, jak Cezar, Leonardo da Vinci, Goethe, Stendhal, pomimo olbrzymich różnic, jakie między nimi istnieją. Goethe niewątpliwie potępiłby wiele czynów Maltère'a, ale pomimo to jest ten ostatni goethyjczykiem. Dodajmy nareszcie jeszcze jedno podobieństwo: Goethe stoi na progu między klasycyzmem i romantyzmem, a raczej godzi oba, Maltère jest człowiekiem nadzwyczaj uczuciowym, ale uczucia jego wyrażają się w formie nader powściągliwej Barrès nazywa go „zamrożonym romantykiem.“ Goethyjskiem jest także zachowanie się naszego bohatera względem socyalizmu, któremu nie sprzyja, ale który go mocno interesuje, jak każda idea, której nie można odmówić coraz potężniejszego rozrostu.

*) W sądach naszych sprawozdawców z literatury francuskiej zachodzi często sprzeczność, którą pozostawiamy dla zapewnienia krytykom swobody zdania. *Red.*

---

po jej twarzy. Ja musiałem mieć bardzo głupią minę, chciałem ją pokryć uśmiechem. Za to po powrocie do domu szalałem. Ona była cicha, jakby nieprzytomna, tak zajęta gospodarstwem, że nikt przystąpić do niej nie mógł.

Znów przerwał zamyślony. Nachylił się nad kieliszkiem, smakował zeń powoli, i już sam dla siebie, dziś jeszcze rozmyślał.

Co ta kobieta mogła *jemu* wówczas powiedzieć? Przedewszystkiem poco *jemu* mówiła? Czy sądziła, że *on* go wyzwie, żeby ją pomścić? I co właściwie powiedziała? Najprawdopodobniej powiedziała ogólnikowo: „Obraził mię.“ *On* musiał widzieć w niej Wirginię...

A może... Wszak żadne słowo między nimi nie padło. Może on się łudził. Patrzył na nią przez szkła swej namiętności i mylił się, sądząc ją blizką upadku.

— I wiesz, jak się skończyło? — zwrócił się do mnie. Sytuacya nazajutrz była drażliwa. Ona ceremonialnie mię żegnała, on patrzał smutnie — milczał. Ja jeden byłem wesół, jak dziecko. Widziałem w sobie bohatera. Najstraszniejszą z bestyi pokonałem. Powoli jednak zaczynało mi być duszno. Nerwy mi drgać zaczynały. Byłem jak dzieciak, który wbrew zakazowi upadł i chce dowieść śmiechem, że się nie potłukł. Wyszliśmy wreszcie przed ganek, gdzie konie czekały. On trzymał ręce za sobą, patrzyliśmy na się, a wściekłość mię ogarniała, Jeszcze chwila, byłbym wszystko z siebie wyrzucił. Szczęściem ozwał się, wiesz, co powiedział? Oczy spuścił i z wahaniem spytał:

— Czy mogę cię jeszcze do siebie zaprasza?

— Możesz — krzyknąłem i wyciągnąłem do niego ręce. Wpatrzył się we mnie, jakby chciał przejrzeć na wylot — padliśmy sobie w objęcia.

To było wszystko. „Żyj zdrowo...“ Jedź szczęśliwie.“ Ale ani jednego słowa nad to. Do dziś tak przetrwało. Nie byłem już, co prawda, u nich — trudno mi się wybrać — ale spotykamy się nieraz. Z nią obojętni, z nim serdeczni, jak nigdy przedtem.

Kazał podać świeżą markę. Mówiliśmy chwilę o winach, o czemś tam jeszcze — wesoło było. W tem przypomniałem sobie jego nastrój poprzedni. Spytałem:

— Wacek, a co cię dziś gryzło?

Roześmiał się.

— Jestem jota w jotę w takiej, jak tamta, pozycyi.

Rzuciłem się na morały.

— Toż chyba dzisiaj tem łatwiejszy wybór. Zrób jak wtedy, a kiedyś znowu, tak jak dzisiaj, rozweseli cię nowe wspomnienie.

— Tra la la. Idź na ambonę, duszko!

— Widzisz — cedził słowo po słowie — kiedym tobie rzecz opowiadał, tom odgrywał przed tobą rolę bohatera, jak ją ongi zagrałem przed sobą. Kiedy sam o tem myślę... wiesz... ciekawość mię gnębi. Czy... czy ona naprawdę tak blizką była upadku... czy... może mi się tylko tak zdawało?

Wstał i dopił wino.

— Ot chodźmy. Późno, a twoja pani czeka.

— Moja pani — poszepnąłem.

Zły i posępny wracałem do domu. Wszak on i moim przyjacielem.

Cz. U.



Goethe sympatyzował z każdą wschodzącą siłą. Maltère jest przekonany o potrzebie gruntownych zmian, sądzi wszakże, iż ludzkość ma już dość systemów, trzeba raczej pogodzenia naszych obyczajów ze sposobami naszego czucia. Powszechne obecnie rozczarowanie ma pochodzić stąd, iż będąc tak różni od ojców i dziadów, żyjemy w formach społecznych, przez nich pozostawionych, a bynajmniej nie wybranych przez nas samych. „Umarli nas trują.“ Autor twierdzi, że z więzów tych każdy człowiek z osobna może się wydostać. Książka jego ma do tego dopomódz. Maltère ożenił się z kobietą-prawnikiem, osobą ukształconą i szlachetną, z którą łączy go głównie jednakość dążeń moralnych. Kocha swą żonę, ale kocha jednocześnie księżniczkę Marynę, namiętną, którą opuścił, sądząc, że wiąże ich tylko zmysłowość. Omylił się wszelako w rachubach: Maryna zapuściła bardzo głębokie korzenie w jego serce, oprócz tego szarpią go zgryzoty z powodu jej cierpienia. Pozostaje zwykła, przez wszystkich w takich razach używana, droga „adultere'u.“ Ale Maltère brzydzi się kłamstwem. Wyprowadza go z kłopotu żona, która go kocha, ale jest dość szlachetna i rozumna, aby zwyciężyć przesąd. „Ona odważyła się — powiada autor — wystąpić przeciw tej wyobrażalnej cnocie kodeksu, przeciw tej surowej cnocie prawników i na jej miejscu pozostawić cnotę serca i natury. Prawo daje jej dom zamknięty i możność być głuchą, ślepą i pogardliwą dla tej, co cierpi, wzruszająca, na progu. Ona nie chce tych łez. Woli dzielić raczej z rywalką, niż z boleścią serce, które jej jest drogie.“ Oryginalne to wyjście autor uzasadnia nader głęboko psychologicznie: bierze on trzy osoby tak wysoko moralnie rozwinięte, iż cudza boleść sprawia im nie rozkosz, jak zwykle w tych wypadkach bywa, lecz cierpienie. Z drugiej strony odrzucają one i kłamstwo, na które wszyscy się godzą i hypokryzyę, obawiającą się tylko skandalu, a zamykającą oczy na wszystko, co się dzieje po cichu. Maltère mniema, iż potrzeba nie reformy praw, lecz nowego stanu ducha. Trzeba, żeby dobrobyt i rozwój cudzych „ja“ wydawał się nam warunkiem zupełnego rozwoju naszego „ja.“ Nie chodzi mu o ideę, lecz o uczucia. „Tylko te prawdy nas prowadzą, które wyciskają nam łzy.“ Ani mefistofeliczny Marx, ani imponujący Lassalle, ani systematyk Fourier, ani czysto umysłowy St. Simon nie zadawalają go. Widzi w nich tylko inteligencyę i wolę. On by chciał być oszołomiony. On chciałby rzeczy, któreby poruszały serca. On chce czuć, płakać. Do licha systemy! Takie jest stanowisko autora, nadzwyczaj jednostronne, a objaśnia się zupełną nieznajomością współczesnej socyologii, która usprawiedliwia i prawa i systemy. Słusznem jest, iż w oczekiwaniu jakiegoś nader odległego szczęścia przyszłych pokoleń, nie trzeba pomiatać otaczającem cierpieniem; słusznem jest, iż kompromisy śród ludzi przekonanych cierpiane być nie powinny: co za okropna obłuda tych otyłych i bogatych dobroczyńców ludzkości, głoszących braterstwo i równość biedakom, umierającym z nędzy! Tak, potrzeba ludzi przekonanych, którzyby byli wierni swym przekonaniom, trzeba „urzeczywistnić uczuciowość, któraby była odpowiednia obecnemu naszemu pojmowaniu,“ ale tego rodzaju „osobista inicyatywa“ może wywrzeć tylko ograniczony wpływ i dlatego musi ona być popełniona właśnie przez „systemy,“ dla których Maltère czuje wstręt nieprzeparty. Wystarczałaby ona co najdalej dla jego bohaterów, o „uczuciowości tak wydelikaconej, iż nie mogą popełnić nic niemoralnego.“ Ale tego nie dość na większych przestworach nędzy. Zresztą autora interesują nie tylko masy, ale i jednostki — nawet takie, które przez szał indywidualizmu uciekają przed wszelkim przyjętym sposobem odczuwania. Jako przykład bierze Ludwika II. Autora nie przestrasza, iż był to oryginał, artysta, arystokrata. „Był niezadowolony — tego dość. A zresztą, czyż wyłączycie ze swej troski choćby jednego człowieka? Każde cierpienie zasługuje na naszą sympatyę, jak każda utopia na naszą ciekawość.“ Żaden system społeczny — a Maltère wszystkie stara się zbadać — nie stanowi jego ojczyzny moralnej. Miał on wciąż tęsknotę do jakiegoś nieznanego kraju. W tej pogoni udaje się do Bawaryi, żeby zbadać „wizyę artystyczną“ Ludwika II. Daje nadzwyczaj subtelną charakterystykę tego króla, również jak i wielu innych wybitnych osobistości. Dla przykładu przedstawimy jego pogląd na Lassalle'a, nader nieprzychylny, ale pod wielu względami sprawiedliwy. Swą zadowoloną próżnością przypomina Lassalle zwykłego tenora, z drugiej strony czyni wrażenie ordynarnego dorobkiewicza: w tem trzeba szukać pobudek małżeństwa z arystokratką, któreby go wprowadziło do towarzystwa, jego, żyda. Disraeli stał psychologicznie nieskończenie wyżej. On układał sobie z życia wizyę zmysłową i chimeryczną, swego rodzaju grę namiętną, ale bezinteresowną. Poeta, dandy, działacz, ten pogardliwy Disraeli umiał zawsze pomieścić każdą rzecz na swem miejscu i od niczego nie zależeć. Lassalle przeciwnie, oprócz tego, że przyjmował pozy płaskiego melodramatu, jest wciąż zadowolony z rzeczy i z siebie.

L. W.

LITERATURA POLSKA.



Ignacy Dąbrowski. *Śmierć.* — Studyum.

(Dokończenie).

Rudnicki lubuje się niesłychanie we wszelkich subtelnościach i analizie odcieni myśli. Te właściwości nie dały mu żadnego oparcia, natomiast zrodziły nieustanne trawienie się i szamotanie wewnętrzne, uczyniwszy go prawie bankrutem moralnym. Przeziębiony położył się do łóżka i długo w takim stanie przebywał, nie wiedząc zgoła, że ma suchoty. Jego siostra, Zosia, naiwne i urocze dziewczę i Stach także nie zaraz zostali o tem powiadomieni. Dopiero podczas strasznego przypadku kaszlu, kiedy wydarł się im krzyk rozpaczy: on kona! możliwość śmierci spadła jak grom i położyła piętno na dalszy przebieg jego życia duchowego. Myśl ta, uchwycona przelotnie, zrazu nie sprawiła mu przykrości. „Jakaś zasłona, co mi wzrok zasłaniała, miała opaść lada sekunda, lada chwila... i ot wszystko będzie dobrze, wszystko się wyjaśni, nastanie jakaś harmonia, coś niezwykłego... nieznanego... koniec...“ Ogarnęła go rzeźwość, zaczął płakać i zawodzić, jak małe dziecko, któremu się krzywda dzieje. Potem zawisła nad nim śmierć w całej swej grozie, spędzała mu sen z powiek, była ciągłą zmorą i ustawicznem udręczeniem. Choroba zaostrzyła wszystkie zmysły i wydelikatniła wszystkie nerwy. W niedoli swojej grzebie on się z jakiemś bolesnem pochłonięciem. „Śmierć — powiada — jak medal, ma dwie strony. Jedna — to utrata życia, tej jedynej sposobności istnienia i użycia; druga — to śmierć sama, z całą ponurą tajemniczością swoją.“ Nie żałujemy życia dla życia, ale dla tego, żeśmy go dobrze wyzyskać nie potrafili. Stąd żal za życiem zmarnowanem, żal za straconą możliwością szczęścia, żal za każdą godziną, która ubiegła na niczem i już nie wróci nigdy... „Jestem bezbronny wobec ciosu, bo nic nie mam w duszy.“ Świat dlań—to chaos splątanych zjawisk bez harmonijnej spójności. Wszystko u takich ludzi dąży w tym kierunku, iż stają się „niedołęgami śmierci.“ Jeśli uprzytomnimy sobie tymczasowość duchową Rudnickiego, jego sceptycyzm ubezwładniający, pojmiemy cały przebieg jego walki duchowej, zmienne fazy jego nastroju. Umierający — znieczuleni są na jedno, przeczuleni na drugie, inaczej patrzą na cały otaczający ich świat i pojmują go odmiennie. Wie on, że umrze, jak inni pomarli, ale też uznaje całą różnicę: „Tamtych — mówi — wiedzie ona na rzeź z zawiązanemi oczyma, a ja sam na nią idę, licząc swe kroki i oryentując się w drodze.“ Rzadko zdobywa się na energię rezygnacyi. Razi go nienaturalność, jaka zaszła w stosunkach z najbliższymi. „Ich trwożne miny, pomieszanie, jakie okazywali na każdym kroku, najbardziej mi były nieznośne.“ Wymagał czasami całego „cynizmu prawdy,“ przebłyski jej wszakże dolegały mu srodze. Czuł dotkliwy ból z powodu ciężaru, jakim spadł na otoczenie... „Każdy dzień mego życia—to kradzież cząstki ich swobody, to rabunek na ich własnem życiu... Śmierć jest przedewszystkiem złośliwą jędzą, spoczwarzającą, zatruwającą umysł. To nie czuła i tkliwa scena z końca dramatów Dumasa, to ohydny proces rozkładu ciała i umysłu... Ginąć gdzieś w burzach żywiołów, w kataklizmach życia, wśród walki i zmagania się — zgadzam się na to, ale tak konać, tak nędznie, marnie, w czterech ścianach, to już nie okrutnie nawet, to obrzydliwie.... Śmierć okrada nas z serca i rozumu, wydziera wszystko, co tylko lepszego w nas tkwiło, pozostawiając jedynie męty i szumowiny duszy, aby było czem żyć — na dni ostatek.“

Całkowicie można pojąć dopiero przebieg fatalnego dramatu, w którym Rudnicki mimowolnie odgrywał ogniskową rolę, jeśli uwydatnimy charakter jego przyjaciela, Stacha, i dwu sióstr, starszej Amelki, która mogła przybyć do łoża brata dopiero podczas ostatniego aktu i młodszej, Zosi, która wraz ze Stachem tworzy naiwnie, lecz serdecznie kochającą się parę. W określeniu autora Stach rysuje się jako sekciarz społeczny, silnej woli i charakteru czynnego, posiada on wielką moc życiową, znamię pewnego marzycielstwa łagodzi poniekąd bezwzględność temperamentu. Rudnicki patrzy nań przez pryzmat swego dekadentyzmu i arystokracyi duchowej. Należy pamiętać, że należy do kategoryi „dusz znużonych“ tylko w okresie jeszcze *stawania się.* Otóż taki człowiek nie może pojąć dokładnie odmiennej natury, czynnej i oddanej bezwzględnie swoim ideałom, a musi ją bezwarunkowo spospolitować i zniżyć jej poziom duchowy.

Bardzo dobrze przedstawione jest oddziaływanie Amelki, jej uczuć stałych, harmonijnych a kojących. „To tak dobrze— zwierza się R. — kiedy z własną myślą uporać się trudno, zaufać komuś ślepo, zrobić go swojem sumieniem i tak iść za rozkazem...“ Dopiero wraz z jej przybyciem zaczął się wygrzewać w zrównoważonem cieple miłości.

Zosię autor przedstawił jako dziewczynę tkliwą, uczuciową, wrażliwą, uosabiającą jednak bezlotka umysłowego. W literaturze kobietom wogóle się nie szczęści. Prawie każdy powieściopisarz ma jakiś żywiołowy pociąg do odczuwania i malowania „wiecznej kobiecości,“ której nieodłączną cechą jest gąskowatość i prostota.

Powtarzamy, iż p. Dąbr. okazał wielki talent. Częstokroć przy czytaniu jego pracy doznajemy uczucia, że mamy przed sobą pracę fachowego literata, starającego się czyjąś śmierć wyzyskać jako ciekawy materyał powieściowy. Ale za dużo tu polotu rozumowego, za mało zaś wrażeń bezpośrednich. Człowiek umierający, obdarzony umysłem lotnym, albo przekonywa siebie, że życie to znikoma mara, próżna ułuda, albo też rodzi się w nim gwałtowna, maniacka żądza życia. Patrzy on z jakąś pogardą i nienawiścią na żyjących. Zdaje mu się, że nie oceniają oni należycie całej wartości życia, że trwonią głupio i nikczemnie

skarby, jakie ono im daje. Spogląda się wówczas z jakąś lekceważącą niechęcią na ludzi, zagrzęzłych w rojowisku drobiazgów pospolitych, a niedążących energicznie do zapanowania nad różnolitą i wielostronną treścią życiową. Świetnie i głęboko odzwierciedlone zostały stany psychiczne gasnącego suchotnika, młodzieńca uzdolnionego i wybujałego umysłowo, w „Idyocie“ Dostojewskiego. Z jakąż chciwością i pragnieniem nieutulonem śledził on wszelkie drobiazgi otaczającego życia, wszystko go interesowało, wszystko niepokoiło i zaciekawiało. Rodził się w nim jakiś ekstetyczny pociąg do ludzi, do zbratania się i zlania się z nimi. „Marzyłem — powiada — że wszyscy roztworzą ramiona i przytulą mię w objęciach swych, będą prosić mnie o przebaczenie, a ja ich.“ Jak mu nieprzyjemny był widok wiecznie kłopoczących się i przygnębionych troską codzienną i zabiegami małostkowymi. „Skoro ludzie żyją — powiada — więc wszystko znajduje się w ich posiadaniu, władza ich jest nieograniczona, wszystkiego mogą się dobić, mogą stać się nawet Rotschildami.“

W ostatnich chwilach życia uczuciowość może się nastroić na niezmiernie wysoką i dźwięczną nutę. Względem osób drogich i ukochanych może przybrać ton liryczno-modlitewny. Wogóle natura ludzka jest bardzo złożona i przebywa śród różnorodnych stosunków, od których zależy przebieg duchowy ostatniego aktu dramatu życiowego, poprzedzającego niebyt. Niepodobna ująć wszystkich tych przejawów w jakiś jednolity całokształt. Rudnicki jednostkowo może być prawdziwym, nie jest jednak i nie może być typem ogólnym. Kategorya analityków nie jest tak liczna i ci nawet w przededniu śmierci nie potrafią z takiem przejęciem pełnić swej funkcyi.

Pomimo to „Śmierć“ stanowi chlubę bieżącej literatury polskiej.

Br. Chrz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Dziennik Baszkircewej i jego autorka. — Szkic Czechowa „Sala nr. 6.“ — Obraz Ciąglińskiego. — Wieczorek p. Zbiszewskiej. — Koncert Towarz. Dobroczyn. — W. Spasowicz. — Zima.

Siewiernyj Wiestnik w przeszłym roku drukował długo, nader długo *Dziennik* Baszkircewej. Nie zwróciliśmy nań wówczas uwagi, w rozwoju bowiem ludzkości ma on znaczenie zera. Wyobraźcie sobie dziewczkę bogatego domu — cudowne dziecko, które słysząc w okół wykrzykniki zachwytu nad nią, samo wreszcie zaczyna zachwycać się sobą. Pod jej stopami czołga się maluczki światek, ona zaś stworzona do celów wyższych... Od dziecięcych lat zaczyna pisać dziennik; chwali siebie codzień i codzień nazywa kogoś głupcem, albo lichym umysłem. Ażeby wreszcie dowieść swej genialności, uczy się w Paryżu rysunku, maluje parę obrazków. Jeden z nich (*Wiosna*) widzieliśmy na wystawie w Petersburgu; było to sobie średniej wartości malowidło, a jednak autorka, pisząc w dzienniku o tym obrazie, powiada, że stworzyła dzieło, jakiego świat nie widział. Trzeba też oddać słuszność, że we Francyi zwolennicy jej salonu drukowali i krzyczeli o jej genialności tyle, aż biedaczka sama w nią uwierzyła. Umarła młoda, bo mając zaledwo 23 lata; nic nie uczyniła dla ludzkości, a jednak alarm jej o swem powołaniu znalazł oddźwięk i w ruskiej prasie. Ileż to artykułów poświęcono jej wielkości! Wreszcie p. Andrejewski w gazecie *Nowoje Wremia* przewyższył wszystkich. Na szczęście feljetonista tejże gazety *Żytiel* (Mieszkaniec) wnet po zachwytach p. A. trochę złośliwie, ale zupełnie słusznie określił znaczenie cudownego dziecka na polu sztuki, literatury i ludzkości.

Miesięcznik *Ruskaja Myśl* w Nr. 11 zamieścił szkic Antoniego Czechowa p. t. „Sala Nr. 6.“ Utwór ten przenosi nas do pewnej mieściny, gdzie się znajduje wcale niepokaźny szpital, a w nim sala przeznaczona dla obłąkanych. Wśród chorych znajduje się niejaki Gromow; biografia jego nader krótka. Ojciec urzędnik, oddany za fałszerstwo pod sąd, umarł w więzieniu, syn porzuca uniwersytet, ażeby pracować na chleb dla matki... Po jej śmierci ujawnia się w nim znaczny upadek energii: porzuca posadę nauczyciela, mało dba o to, co będzie jadł jutro, wkrótce jednak dostaje miejsce w sądzie... Coraz uparciej unika ludzi, aż wreszcie kończy manią prześladowczą. Wszystkiego się lęka, w każdym widzi wroga lub szpiega; gdy wykryto pewne zabójstwo, a sprawcy nie wyszukano, chowa się po sklepach, aż odwieziono go do szpitala. Drugim typem wybitnym jest doktór szpitala Ragin. O ile Gromow lubił czytać całemi godzinami, a na ludzkość patrzył jako na uosobienie niesprawiedliwości i ucisku, o tyle Ragin unika książek i stoicko zamyka się w sobie. Jest to człowiek miękki, słaby, pozwala ekonomowi szpitalnemu robić nadużycia, pełni swój obowiązek licho, najczęściej przesiaduje w domu i zapija piwo. Los chciał, że pewnego razu Gromow złajał doktora, ten zaczyna uniewinniać się, zawiązuje się zajmująca rozmowa. Gromow żąda, ażeby go puszczono na wolność, na co Ragin dowodzi:

— Cóż z tego! Mieszczanie, policya zatrzymają cię i wrócą. Taki jest twój los. Skoro istnieją domy dla obłąkanych i więzienia, ktoś musi w nich siedzieć; ten lub ów — nie jest to oparte ani na logice, ani na moralności głębszej — wszystko zależy od wypadku, przy wszelkich jednak warunkach człowiek może sobie stworzyć wewnętrzny spokój, skoro pogardzi otoczeniem i zawrze się w świecie ducha. Dyogenes w beczce umiał być szczęśliwym.

Chory z zapałem dowodzi, że są to baśnie dla dzieci, ludzie wymyślili zło, upodlili się, znikczemnieli i nie chcą tego widzieć. Dobrze temu rozprawiać, kto przyjmuje udział w ucisku, ale w skórze więzionego nie łatwo zdobywać się na rezygnacyę filozoficzną.

Rozmowy między chorym i lekarzem powtarzają się codzień, aż wreszcie otaczający przychodzą do przekonania, że doktór sam jest pomieszany.

Widząc wokoło jakieś dwuznaczne kiwania głowami, litowanie się, zaczyna niecierpliwić się, gniewać i wreszcie gdy pomocnik jego — lekarz i przyjaciel — i pocztmistrz, częstując radami i lekarstwami, nie dają mu wytchnienia, wypędza ich i wyrzuca miksturę. Był to ostatni wybuch, w kilka dni potem przewieziony do sali Nr. 6 kończy na apopleksyę.

Widzimy tedy dwu obłąkanych; jeden wiecznie wzburzony, drugi — melancholik. Autor potrafił uwydatnić przejścia ich ze stanu napół zdrowego do choroby tak doskonale, że czytelnik ani trochę by się nie zdziwił, gdyby i inne wchodzące w grę osoby skończyły życie w sali Nr. 6. Tak np. widzimy felczera, który się pyszni, że więcej wie od doktora; miasto wierzy mu, używa go do swych chorych i opłaca wizyty gotówką; to też syt, gładki, wyelegantowany patrzy na wszystkich z góry i ma o sobie niezmiernie wysokie przekonanie. Pomocnik doktora — człowiek maluczki, podobny jest do świdra, co się wszędzie wkręci, wywierci, co może i pozostawiwszy pustkę, mknie dalej. Ekonom przez całe życie stara się o to, ażeby coś sobie zaoszczędzić na chorych. Pocztmistrz, przyjaciel Ragina, udając przed publicznością wielką osobę, gromi kogo może, w rozmowach poufnych przechwala się lub kłamie... Stróż wreszcie sali Nr. 6 mityguje chorych pięścią bez gniewu i wzburzenia — nakształt machiny. Wszystko to są istoty chorobliwe, bez dążeń szlachetnych, słowem, kandydaci do sali Nr. 6.

Wrażenie po przeczytaniu szkicu otrzymuje się smutne; nie dziw więc, że wszystkie dzienniki roztrząsały ów utwór, jak kto umiał. Na jedno się jednak zgodzono, mianowicie, że jest to szkic wysokiej wartości, a zabarwiony kolorem ciemnym.

Przejdźmy do motywów weselszych... Nie mając ich w tej chwili pod ręką, zaprowadzę was do pracowni p. Ciąglińskiego, który obecnie gotuje obraz na wystawę do Chicago.

Tymczasem można oglądać tylko ideę obrazu — szkic, zarysowujący się jednak o tyle, że daje zupełne pojęcie o całości. Obraz przedstawia Potocką w Bakczysaraju, w haremie. Na pierwszym tedy planie widzimy postać kobiety zastygłą w tęsknocie i boleści. Ręce bezwładnie leżą na kolanach, głowa odrzucona w tył, myśl het daleko — jużci na zachodzie... Wśród pól szumiących kłosami, błoni porośniętych bujną zielenią, nad modrym stawem szumią lipy, w ich gałęziach słowik nuci pieśń miłości, a w modrzewiowym dworku w schludnej komnatce małe dziecię tuląc się do łona matczynego, zasłuchane w szmery drzew i śpiew ptasząt, spogląda z zadumą na duży obraz Bogarodzicy... Podobno w tej chwili matka opowiada dziecięciu o zadaniu kobiety, a może opisuje cuda, jakie płyną z obrazu owej opiekunki zbolałych i więźniów. Dla czegóż dziś nie wyrwie ją z czeluści hańby i niewoli? Dlaczego świetne zadanie kobiety skończyło się haremem?

Jest to jeden z tych obrazów, na które trzeba umieć patrzeć. Na dalszym planie widzimy jeszcze trzy rozmaite postacie i po za tem rościela się widok na Bakczysaraj. Szczegółów obrazu, przed ukończeniem go, nie będziemy opisywali, później pozwolimy sobie uczynić przegląd i innych ciekawych studyów, szkiców i obrazów, znajdujących się w pracowni p. C.

W przeszłym miesiącu niejaka panna Zbiszewska z pomocą przyjaciół urządziła amatorski wieczorek na korzyść Dobroczynności. Otóż, uzyskawszy pozwolenie, wynajęto teatr Nemetti, wystawiła na scenie trzy jednoaktówki, z których np. *Barkarolę* Gawalewicza zagrano wyśmienicie, a inne — wcale nieźle i wręczyła Towarzystwu czystego dochodu 400 rs. Oryginalne w całej tej sprawie jest to, że członkowie zarządu, dzięki jakiemuś nieporozumieniu, zrazu odmówili ochotnikom pomocy w wyprzedaży biletów, mniemając zapewne, że z tego wszystkiego na korzyść biednych dostanie się zero, albo nawet niedobór kilkudziesięciu rubli, gdy zaś po naradzie chciano pomagać w wyprzedaży — już było zapóźno.

Koncert Towarzystwa Dobroczynności, ku wielkiej uciesze gospodarzów pp. Jochera i Knolla przyniósł w tym roku dochodu przeszło 2000 rubli. Był to w teraźniejszym sezonie bezwarunkowo najlepszy z artystycznych wieczorków, za co przedewszystkiem należy się podziękowanie p. Dłuskiemu. Stosunki z artystami dały mu możność zgromadzenia najwybitniejszych sił. I tak z teatrów Cesarskich i francuskiego śpiewaków: Fignera, Majborodę, Giraldoni i panią Korybut-Daszkiewicz (Mrawinę). O zaletach tych artystów możemy nie mówić, wiedzą o nich nie tylko stolica i kraj cały, ale i zagranica.

Poznańska, jak zwykle, czarowała zgromadzonych swą artystyczną grą na fortepianie, a młody, znany artysta p. Bzul na

wiolonczeli. Panna Tomassain z wielkim wdziękiem i umiejętnością zadeklamowała monolog Paillerona, *Pourquoi* i na żądanie parę maluczkich utworów, zaś p. Morska wcale ładnie oddała utwory Gawalewicza.

Ożywienie było niezmierne. Artystom klaskano niemiłosiernie, naostatku zaś, gdy p. Figner zaśpiewał aryę z opery „Romano“ — Dłuskiego, wywoływano i artystę i kompozytora bez końca.

P. Włodzimierz Spasowicz od paru tygodni zasłabł i nadziei prędkiego powrotu jego do zdrowia nie mamy.

Zimę mamy mroźną i surową. bywały dni, gdy termometr dochodził 30° R. Takich zamieci połączonych ze śnieżycą i wichurą najstarsi nie zapamiętają. Za to pod napadem Boreasza cholera umknęła. Miejmy nadzieję, że nie wróci. Zjazd lekarzy w sprawie tej azyatyckiej włóczęgi przebrzmiał dosyć pesymistycznie. Uchwalono czystość, dobrą strawę, dobry humor. Dezinfekcye, szczególnie podróżnych w wagonach—i kordony uznano za rzeczy podrzędne. Pomoc jest skuteczną w pierwszych chwilach, to też przy najlżejszym zagmatwaniu organizmu należy udawać się do lekarza, nie czekając ataku.

N. B.

LIBERUM VETO.

Komitet obywatelski przeciw cholerze.— Jego zadanie wobec nędzy. — Przytułek dla inwalidów pracy. — Uwagi Rzemieślnika. — Kolej wilanowska. — Według naszego zwyczaju. — Jazda na jednem kole.

Zawiązał się komitet obywatelski, mający organizować starania zapobiegawcze i zbierać środki pieniężne, potrzebne do walki z zarazą. Wielce pocieszającą w jego odezwie jest myśl polepszenia warunków życia klas uboższych. Ktoś bardzo słusznie powiedział, że cholera jest chorobą biedaków. Rzeczywiście, dziś trapi ona i morduje głównie nędzarzów, oszczędzając tych, którym dostały się lepsze losy na loteryi życia. Chodzi więc nie tyle o ratowanie dotkniętych epidemią, wobec których pomoc ludzka jest prawie bezwładna, ile o zmniejszenie niedostatku i tego wszystkiego, co on z sobą sprowadza. M. Nencki miał zeszłego tygodnia w Towarzysrwie lekarskiem wykład o rezultatach badań nad ostatnią epidemią, prowadzonych w Rosyi południowej przez delegatów petersburskiego Instytutu medycyny doświadczalnej. Z zebranych spostrzeżeń i dowodów naukowych doszedł on do wniosku, że jakkolwiek przecinkowiec Kocha jest głównym czynnikiem zarazy, występuje on w niej połączony z innemi bakteryami i wtedy działa najbardziej zabójczo. Jest to — jeśli tak rzec można — wódz orszaku istot chorobotwórczych, bez których nie posiada swej niszczącej siły. Naturalnie te bakterye pomocnicze dla rozwinięcia się potrzebują odpowiedniego podłoża, a najprzyjaźniejszego — jak zresztą wszystkim innym — dostarcza im grunt nędzy. Trzeba przeto usunąć ten grunt, chcąc wytępić jego kwiat — cholerę.

Ale przypuściwszy nawet, że ona nie ogarnęłaby nas szeroko w roku przyszłym — i wtedy praca komitetu, skierowana ku zapewnieniu biedakom lepszych warunków bytu, nie chybi celu. Sądzę, że nikt nie będzie żałował kilku rubli, ofiarowanych chorym a danych głodnym. Nam się zdaje, że mamy dokładne lub przybliżone wyobrażenie o niedoli ludzkiej, szeroko rozpostarte, zwłaszcza na wielkomiejskich nizinach społecznych. Jesteśmy w błędzie. Prawdziwe, okropne swoje oblicze ukazuje ona: szafarzom jałmużny, organom towarzystw dobroczynnych, dozorcom przytułków noclegowych, wreszcie lekarzom szpitalnym. Ci pojmują właściwie znaczenie wyrazu: nędza. Jeżeli w wilgotnych, ciemnych norach, gdzie łokieć sześcienny powietrza wypada na jedną pierś, gdzie chłód rzadko wznosi się po nad zero, gdzie gorąca strawa jest rzadko widzianym zbytkiem, jeśli tam spotkamy jakąś chorobę, to dziwić się tylko możemy, że zagnieździła się sama a nie w towarzystwie wszystkich, jakie grasują po świecie. Niezależnie od różnic, rozdzielających teoretyczne poglądy na istotę cholery, niezależnie od tego, czy prawda stoi po stronie Kocha, Pettenkofera lub Nenckiego, dla ludzkości oczywistym stał się ten ważny fakt, że dobrobyt tamuje rozwój epidemii a nędza mu sprzyja, że najpierwszym i najgłówniejszym środkiem powstrzymania jej jest poprawa warunków zdrowotnych. Gdyby więc świeżo zawiązany komitet obywatelski nic więcej nie zdziałał, gdyby nie uratował ani jednego chorego, tylko dał możność lepszego istnienia zdrowym biedakom, już zasłużyłby sobie na wielkie uznanie. Rozumie się nie należy przeceniać ani jego sił, ani założeń, nie dokona on cudów, nie przekształci stosunków społecznych, nie zapełni i nie wyrówna przepaści, ale może w otchłań biedy rzucić garść czynów dobrych. I to się liczy.

W łonie sekcyi rzemieślniczej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu zrodziła się myśl zobrania funduszu (50,000), który by posłużył do stworzenia przytułku dla zestarzałych i niedołężnych rzemieślników i robotników. Będzie to także mały plaster na wielkiej ranie, ale niewątpliwie ją złagodzi. Jakiś „Rzemieślnik“ wypowiada w *Kuryerze codziennym* kilka uwag, których pominąć nie należy. Naprzód protestuje on przeciw tytułowi. „Nazwa *przytułek* byłaby — według niego — całkiem niewłaściwa,“ gdyż... „są przytułki noclegowe dla żebraków itp., w których szuka schronienia ostatnia nędza społeczna i moralna; dla czegoż więc instytucya, na której wzrost i utrzymanie będą się składali wszyscy rzemieślnicy, ma się nazywać tak samo, jak owe dobroczynne?“ Autor proponuje „schronisko.“ Czem ta nazwa szlachetniejsza od „przytułku“ — nie rozumiem. Ważniejsza jest rada, dotycząca placu pod budynek. Jeżeli Magistrat nie da miejsca darmo, będzie kosztowało około 10,000 rs.; otóż Rzemieślnik zaleca przeniesienie schroniska za Warszawę, gdzie plac możnaby kupić za niewielkie pieniądze, a zakład utrzymać znacznie taniej i w lepszych warunkach zdrowotnych. Niepodobna temu projektowi odmówić słuszności. Rzeczywiście, po co ci inwalidzi pracy mają przebywać w Warszawie? Ani ona dla nich, ani oni dla niej. Za wiele instytucyj skupiliśmy w niej, a za mało rozłożyliśmy na prowincyę, która nieraz pozwoliłaby nam Stwarzać je i prowadzić oszczędniej. „Wedle mego rachunku — powiada Rzemieślnik — plac i porządny budynek w odległości naprzykład ośmiu mil od Warszawy, gdzieś przy kolei, może kosztować z urządzeniem najwyżej 30,000 rs. Rożnica to wielka w porównaniu z projektowanym kosztorysem (50,000 rs.), godna poważnej rozwagi i gruntownego rozbioru. Nie o pałac tu chodzi, lecz o dom wygodny, praktyczny i praktyczne cele spełniający.“ Mniej zasadnym wydaje nam się pomysł opodatkowania na korzyść schroniska zarówno majstrów, jak czeladników, zarówno przemysłowców, jak robotników fabrycznych. Nietylko bowiem najmita zwykle nie może nic okruszyć ze swej płacy, ale taka organizacya zamieniłaby sprawę schroniska na sprawę emerytur rzemieślniczo - robotniczych, której ono by nie rozwiązało. Bo przypuśćmy — co zdarzałoby się ciągle — że czeladnik lub robotnik fabryczny, opłacający składkę przez lat kilkanaście, umarłby w sile wieku: czy przytułek zwróciłby jego rodzinie te wkłady? Nie, a to znaczy, że biedak, który ledwie ma czem odpędzać śmierć głodową, musiałby wspierać innych biedaków.

Z kwestyą tą rozstajemy się, nie snując dalej wniosków i projektów, gdyż dotychczas zebrano zaledwie część funduszu na przytułek, a jego organizacya spoczywa w przyszłości.

Przemówili... doprawdy—przemówili reporterzy o niesnaskach między zarządcami wilanowskiej kolei konnej i to przemówili wtedy, gdy na ostatnie zebranie uczestników odmówiono biletów wejścia „przedstawicielom prasy.“ Dotąd wszystko w tem przedsiębiorstwie, według sprawozdawców, szło gładko (chociaż każde zebranie było wzajemnem szczerzeniem do siebie zębów), teraz dopiero został ujawniony zatarg, który ma się skończyć 1-go marca nowym kontraktem. Że dwu, trzech lub czterech *skich*, zawiązawszy spółkę, po kilku miesiącach albo latach zacznie ją rozdzierać, to jest wypadek tak zwyczajny, że nigdy mu się nie dziwię. Ale że pp. Huss i Magnus, tj. ludzie, którzy po swych przodkach odziedziczyli bodaj osłabione zdolności stowarzyszania się, stanęli przeciw sobie jak najrzetulniejsi *scy*, to już świadczy, że w ogniu naszego indywidualizmu przetopi się na rudę rodzimą najtwardsza natura innego szczepu. Tak, pp. Huss, Magnus itd. są kośćmi i krwią z naszych kości i krwi, bo nie mogli długo wytrwać w spółce. To lepszy dowód, niż metryka lub dyplom szlachecki. Jeżeli tedy chcą dalej prowadzić swój interes, bądź w obecnym, bądź w innym składzie, to radzę im postarać się o kit — francuski, niemiecki, angielski, szwedzki, japoński, jakikolwiek wreszcie, któryby ich sklejał. Dwu polaków i dwu niemców albo francuzów, to dobry związek chemiczny, ale dwu lub trzech polaków czystych, to tylko mieszanina. Członkowie Towarzystwa tramwajów warszawskich rozproszeni są po świecie, a chociaż posiadają interes znacznie większy i nastręczający liczniejsze powody do sporów, niż kolej Wilanowska, nie słyszeliśmy wcale, ażeby się kłócili. Zgarniają spokojnie swoją dywidendę, którą im p. Kiślański daje— i żyją w przyjaźni. Tymczasem niech no by tramwaje przeszły w ręce naszych braci: wszyscy rejenci warszawscy nie wydążyliby w doręczaniu wzajemnych wezwań, a adwokaci w rozplątywaniu węzłów wzajemnych pretensyj.

Byłoby to wszystko bardzo zabawne, gdyby nie było bardzo smutne. Wtedy, kiedy cały świat pracuje grupami sił skojarzonych, my w dalszym ciągu rozwijamy w sobie niezdolność do łącznego działania. Na jednokołowym wózku nie daleko dziś zajechać można — to też kręcimy się na miejscu i... przewracamy.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Berlin, 15 stycznia.

R. Meyer. — Konieczność bankructwa latifundyów europejskich. — Rasa wiejska najemników nie jest zdolna do kierowania złożonemi narzędziami rolnemi. Wyjałowienie gruntów. — Waluta złota jako dalszy czynnik rozkładu wielkich posiadłości. — Wywłaszczenie junkrów przez jobberów giełdowych. — Banki i włości rentowe. — *Adscriptio glebae* — jako przyszłość starej części świata.

Jednym z najlepszych znawców kwestyi rolnej jest dzisiaj bezwarunkowo Rudolf Meyer. Zmuszony z powodu swojej nieprzebłaganej opozycyi zachowawczej przeciwko Bismarkowi do o-

puszczenia kraju, wziął się do studyów nad produkcyą zbożową amerykańską, dla zbadania rzeczy na miejscu odbył podróż po folwarkach Stanów Zjednoczonych, obecnie zaś znalazł się w liczbie fermerów kanadyjskich. Siedząc po drugiej stronie Atlantyku, przypomina sobie od czasu do czasu dawne zajęcie pisarskie, zabierając zresztą głos jedynie w sprawach, dotyczących rolnictwa i jego przyszłości. Z powodu jego nieprzejednanego stanowiska, otwiera mu dzisiaj swoje łamy tylko jeden z organów naukowych partyi polityczno-społecznej wprost mu przeciwnej, dając przytułek głosowi wygnańca, który, chociaż zachowawca, nie chce się nagiąć za przykładem towarzyszów do wymaganych przez obecną epokę dziejową w Niemczech błazeństw i obłudy. Właśnie świeżo ukazała się w tym organie jego rozprawka, poświęcona wykazaniu, że zbliża się w Niemczech, zwłaszcza zaś w dzielnicach wschodnich królestwa pruskiego, ostatnia godzina istnienia wielkiej własności ziemskiej. Wywody jednak autora posiadają znaczenie daleko ogólniejsze i z tego powodu streścimy je przedmiotowo, wstrzymując się od wszelkich uwag.

Maszyna w gospodarstwie rolnem opanowywała dotychczas jedynie pewne gałęzie pracy. Narzędzia te: młocarnie zwykłe, sieczkarnie itd., miały nader prostą budowę i nie wymagały od robotnika żadnych szczególnych uzdolnień, ani przygotowania. Tymczasem reszta robót, i to najgłówniejszych, bo odbywających się w polu, była dokonywana przy pomocy rzeszy wiejskich, od których nie żądano nic więcej, oprócz siły fizycznej. Dzisiaj same warunki pchają rolnictwo na inne drogi. Za morzem maszyny rolne zaczynają przybierać postać coraz bardziej złożoną, a nadto ogarniać najrozmaitsze dziedziny uprawy roli. Pojawiają się żniwiarki, jednocześnie wiążące zboże, młocarnie i sieczkarnie parowe, pługi parowe i zwykłe, lecz orzące kilka bruzd z siedzeniem dla oracza. Ukazanie się ich okrzyczano za nową erę w rolnictwie, która ostatecznie ma przyspieszyć bankructwo drobnej własności i ugruntować panowanie latifundyów. Otóż teoretycznie, zdaniem Meyera, tak by być powinno; w praktyce jednak zastosowanie złożonych maszyn do roli napotkało w Niemczech bardzo ważną przeszkodę, przeciwko której nie jest rzeczą łatwą znaleźć radę. Dotychczas, przy używaniu prostych narzędzi pracy, nie wymagających od robotnika ostrożności, wszystkie starania obywateli ziemskich zwracały się w kierunku taniej siły roboczej. Dzisiaj, po wkroczeniu do rolnictwa narzędzi bardziej złożonych, spostrzeżono, że ze zwykłego a taniego najemnika rolnego nie wielki jest pożytek. Dziecię wsi niemieckiej, takiej, jaka ukształtowała się w ciągu wieków pod jarzmem wyzysku feodalnego oraz systematycznego zniżania zarobków przez nowoczesnego ziemianina, nie jest zdolne do kierowania złożonemi narzędziami. Zwłaszcza dotyczy to wschodnich dzielnic państwa pruskiego, gdzie latifundya głęboko zapuściły korzenie, włościan niezależnych zamieniły na najemników, tych zaś ogłupiły i fizycznie zniszczyły. Niejeden obywatel, który sprowadzał narzędzia średniej złożoności, musiał całemi latami stać obok najemnika przy maszynach, a żniwiarki samowiążące dotychczas nie upowszechniły się w wielkich majątkach ziemskich, ponieważ — jak ktoś zapewniał Meyera w roku przeszłym — kraj nie posiada ludzi, którzy umieliby z niemi się obchodzić. Autor dodaje z doświadczenia własnego, że wychodźcy wiejscy do Ameryki, jeżeli za morze udają się w wieku powyżej lat 25, nie nabywają tam nigdy zdolności do zręcznego kierowania złożonemi maszynami rolnemi. Dotychczasowy oracz lub kosiarz był władcą swego narzędzia i w razie zmęczenia posuwał się naprzód wolniej. Przy żniwiarce człowiek staje się jedynie dodatkiem do jej ramion, które działają z obliczoną systematycznością. W takich warunkach nawet wyćwiczony robotnik może pracować nie więcej, niż 10 godzin z powodu zniżenia duchowego, a cóż dopiero mówić o zwykłym robotniku rolnym! Obywatelowi ziemskiemu, który koniecznie pragnie stosować do roli maszyny nowoczesne, pozostaje jedyna droga — mianowicie, sprowadzenie wyćwiczonej odpowiednio siły roboczej z miasta. Atoli wraz z tem wzrosną koszty uprawy tak znacznie, że wszelkie korzyści z zastosowania maszyn nie pokryją wydatków. Wszystko to stawia dotąd nieprzepartą przeszkodę rozwojowi techniki rolnej na latifundyach, zwłaszcza wschodnio-pruskich, a tem samem pozbawia je jednego ze środków obronnych przeciwko konkurencyi zamorskiej, rosnącej w sposób coraz bardziej zatrważający. Te same czynniki przeszkadzają rozwojowi wielkiej produkcyi rolnej nawet na przestrzeni Ameryki północnej. I tutaj tylko wyjątkowi robotnicy są zdolni do obsługiwania maszyn rolnych — miejscy, a wzamian za to wymagają odpowiedniej płacy, która waha się od 200 do 300 dolarów rocznie, t. j. niekiedy około 50 rubli na miesiąc — więcej, niż bierze niejedna guwernantka wiejska u nas. Są to ceny wygórowane nawet dla amerykańskiego gospodarstwa rolnego. Jeżeli przeto istnieją tam olbrzymie folwarki, masowo użytkujące z maszyn złożonych, dzieje się to w zakątkach odludnych, gdzie dziewicza gleba wynagradza koszty; ale z chwilą wyczerpania soków ziemi w warunkach dzisiejszych są one skazane na rozpadnięcie. Niska kultura wsi mści się teraz na latifundyach i grozi powstrzymaniem rozwoju technicznego. Jedyna tylko forma własności okazała się obecnie sprzyjającą zastosowaniu maszyn. Są to fermy amerykańskie, odpowiadające w pewnym stopniu włościaństwu europejskiemu. Fermer sam orze za pomocą pługa wieloskibowego, na którym siedzi z cygarem w ustach i gazetą w ręku, sam tnie zboże przy pomocy żniwiarki, a najęci robotnicy za 6—8 dolarów miesięcznie spełniają w gospodarstwie pozostałe i proste roboty. Ten 2—3 włókowy fermer, potomek chłopa europejskiego, wraz ze swojemi maszynami pracuje nad strąceniem latifundyów niemieckich w przepaść. Jest jeszcze inna przyczyna, uniemożliwiająca zastosowanie maszyn w postępowych gospodarstwach Europy, mianowicie użyźnianie gruntów, obliczone jedynie na otrzymanie możliwie wielkiej renty. Niech po nas potop zaleje wszystko — to wyrzeczenie zastosowano dzisiaj w całej rozciągłości w postępowem gospodarstwie rolnem, a wiedza agronomiczna wytęża wszystkie swoje siły, ażeby umożliwić jak najszersze stosowanie tej zasady. Nakazuje ona użyźniać grunty sztucznymi nawozami, np. solami amoniakalnemi, dla otrzymania jak największej ilości ziarna. Następstwem tego jest oddanie roli pierwiastków, składających się na ziarno, atoli inne części składowe, z których tworzy się łodyga, nie zostają jej zwracane, gdyż to nie przynosi dochodu. Z każdym przeto okresem płodozmianu łodyga staje się coraz wątlejszą, a ziarno cięższem, zboże zaś powala się tem łatwiej na ziemię i uniemożliwia stosowanie niektórych narzędzi, jak żniwiarka, które właśnie z ekonomicznego punktu widzenia dają największej oszczędzonych wydatków. Dzisiaj jedynie grunty włościańskie w Niemczech są wolne od tego wyjałowienia, dzięki nieznajomości zasad kapitalistycznej wiedzy agronomicznej i tylko chłop utrzymał ziemię swoją w dobrym stanie, dzięki niższej kulturze.

Powyższe przyczyny uniemożliwiają wielkiej własności rolnej w Europie konkurowanie na rynkach ze zbożem drobnego fermera amerykańskiego, który do gospodarstwa rolnego wprowadza maszyny coraz bardziej złożone. Nadto do przyczyn powyższych dołącza się jeszcze szczególna, która, zdaniem Meyera, już w dziejach wielkiej własności dwukrotnie wpływ swój wywarła i sprowadziła jej rozpadnięcie się na osady drobniejsze, mianowicie, ku schyłkowi cesarstwa rzymskiego i w chwili zamarcia wypraw krzyżowych. Jest to rozpostarcie się waluty złotej wraz z nieustającem podwyższaniem wartości tego kruszcu szlachetnego, co sprawi, że ceny zboża będą spadały, wówczas kiedy wszelkie zobowiązania, w zakresie długów, podatków, zakrzepną w dawnej nominalnej wartości. Wobec działania wszystkich tych warunków i rozwoju przedsiębierczości rolnej w Ameryce północnej, autor sądzi, że nieróżowa przyszłość oczekuje latifundya niemieckie. Tu i owdzie utrzymają się one, a nawet będą się rozwijały, zwłaszcza gdzie sprzyja temu jakość gleby i klimatu, bliskość rynków zbytu i drogi komunikacyjne. Reszta musi upaść, a raczej rozpaść się. Pierwszym aktem tego dramatu historycznego będzie wywłaszczenie obywatelstwa rodowego przez finansistów miejskich. Już dzisiaj są ci ostatni właścicielami faktycznymi olbrzymich przestrzeni ziemi, chociaż nie imiennymi (w postaci wierzycieli hipotecznych). Jak niegdyś, kiedy renta wzrastała, obywatel ziemski zgarniał bez pracy i darmo wszystkie owoce postępu społecznego, teraz przy jej spadaniu takim synem szczęścia jest rentyer hypoteczny. W miarę jak wartość majątków zniża się, warstwa rentjerów staje się coraz większą właścicielką ziemską. Ziemiaństwo np. przedlitawskie dźwiga na sobie dług 3 miliardy guldenów, za który oddać musi z każdym rokiem coraz rozleglejszą przestrzeń gruntów. Wreszcie z biegiem czasu dojdzie do tego, że bieżąca wartość ziemi ledwie wyniesie tę sumę, a wtedy najnaturalniejszą drogą finansiści znajdą się w posiadaniu ziemi. Atoli są oni grupą, umiejącą chodzić około interesów swoich, a nadto dzisiaj kierują maszyną państwową. Nie omieszkają więc wynaleźć sposobów zwolnienia się od tak niemiłej własności, a wtedy rozpocznie się drugi akt tragedyi latifundyowej: stwarzanie nowoczesnej *adscriptionis glebae* na wsi. Dla tej przyszłości teraźniejszość dostarcza już wzorów. Kiedyś Rodbertus wypowiedział myśl wytworzenia zamożnego włościaństwa za pomocą tak zwanych „osad rentowych," a Meyer był jednym z jej proroków, od czego się zresztą dzisiaj odżegnywa. Z pobudek patryotycznych usiłowali oni wtedy powołać do życia włościaństwo, piastujące w sobie nietylko zdrowie fizyczne, ale i duch tradycyjny niemieckości. Dodajmy od siebie, że Rodbertusowi leżały na sercu interesy wielkiej własności ziemskiej. Mimo to jego myśl stworzenia silnego stanu włościańskiego należy do najkorzystniejszych ze wszystkich mi znanych. Obliczonoby rentę roczną z pewnego kawałka ziemi, a drobny rolnik wstąpiłby w jej posiadanie, zgoła nie spłacając należności, lecz jedynie zobowiązując się do stałego uiszczania renty, która nadto mogłaby być częściowo lub całkowicie zastąpiona przez jego osobistą pracę na folwarku. Zresztą osadnik miałby prawo wykupienia zupełnego osady, gdyby zechciał skapitalizować rentę. Rodbertus projekt swój wypracował wówczas jeszcze, kiedy renta bezustannie podnosiła się a z nią wartość majątków ziemskich. Wobec wzrostu dochodów z osady i uiszczania wciąż z roku na rok raz ustanowionej renty, osadnik mógł robić oszczędności i wykupić osadę na własność bezwzględną. Zamiary te jednak były mrzonką, niepodobna bowiem było spodziewać się ze strony junkrów, ażeby dla stworzenia silnego stanu włościańskiego oddali darmo wciąż podnoszący się roczny przyrost dochodu. To też swego czasu na te wywody nie zwrócono uwagi. Dzisiaj warunki uległy radykalnej zmianie. Od lat dziesiątka renta ziemska spada wraz z wartością majątków. W tych okolicznościach wywleczono z grobu imię junkra-socyalisty

i pod urokiem jego błogosławieństwa wcielono w życie tak zwane prawa rentowe. Pierwsze z czerwca 1890, zatwierdzone w sejmie pruskim, daje zasady wytwarzania włości rentowych. Każdy obywatel może rozparcelować swój majątek. Nabywający działkę wstępuje we wszelkie prawa, nie uiszczając żadnej sumy za grunty, ale zobowiązuje się do opłaty renty rocznej umówionej, przytem bez pozwolenia obywatela nie wolno mu zaciągać długów hypotecznych, ani sprzedawać lub dzielić osady. Sama zaś renta może być spłacona ostatecznie w formie skapitalizowanej tylko wtedy, kiedy zgodzą się na to *obie* strony. Należy się spodziewać, że w obecnych warunkach jedna strona, obywatelska, z trudnością na to się zgodzi. A ponieważ renta spada, przeto, jeżeli ktoś kupił włość za 100 marek renty rocznej, po latach zaś dziesięciu istotny dochód zniży się do 80, osadnik będzie jednak wciąż zmuszony uiszczać dawną sumę stu marek. Zresztą może obywatel skusi się na brzęczącą monetę, ale nie wtedy, kiedy osadnik mieć będzie do czynienia z finansistami. Drugie prawo, z lipca 1891, tworzy tak zwane banki rentowe, spłacające obywatela za pomocą odpowiednich listów w rozmiarach 27-krotnej stopy kapitalizowania renty. Prawo to głosi, że włościanin rentowy w ciągu lat 60 winien uiścić takiemu bankowi kapitał odpowiadający wypłaconej rencie skapitalizowanej i wówczas staje się właścicielem zupełnym. Ustawy to pod pozorem stworzenia stanu włościańskiego są istotnie szwindlem społeczno-politycznym ze strony ziemiaństwa, urządzonym z nadzieją, że na wędkę złapią się drobni nabywcy, niepotrzebujący spłacać samej wartości gruntu. Otóż z chwilą masowego wywłaszczania ziemian przez finansistów można spodziewać się takiej parcelacyi rentowej na wielką skalę, w pewnych razach z warunkiem spłacania renty w postaci naturalnej. Wobec zaś ciągłego spadku renty dążnością tych rabusiów finansowych będzie tamowanie spłaty ostatecznej w postaci skapitalizowanej. Pozostanie wtedy dawne przymocowanie do gleby, co już zdradza się w dzisiejszych prawach rentowych, z tą tylko różnicą, że panami będą nie obywatele feodalni, lecz kapitaliści-rentyerzy, połączeni w różne spółki, banki itd.

Taką możliwość, zdaniem Meyera, zapowiada konkurencya zbożowa zamorska podupadającej Europie. Rozumie się, możliwe są również inne rozwiązania kwestyi. Jaką drogą potoczy się rozwój społeczny i ekonomiczny starej części świata, zależy to od wyniku walki pomiędzy różnemi klasami. Zwycięztwo grup posiadających gotuje właśnie taką nowożytną *adscriptionem glebae*. Jedyną ulgę może naówczas sprawić wychodźctwo masowe za morze, które, zmniejszając kandydatów do roli, pozwoli postawić im lepsze wymagania i zamiast nowoczesnych poddańczuków stworzyć wolne włościaństwo.

K. R. Ż.

SPOSÓB WYJŚCIA.

Niedawna walka dostawców produktu surowego z silną organizacyą przetwórczą — cukrownikami, ujawniła dążenia rolników do zdobycia właściwych sposobów torowania drogi, t. j. użycia takiej broni, jaką się posługuje rzesza wytwórców wielko-przemysłowych. Pisząc obszerniej o tych zapasach w r. z., położyliśmy nacisk na ten zwrot pożądany w łonie ziemian, jakkolwiek ujawnił się on tylko w postaci dorywczej, a więc nie rokującej zwycięztwa. Prawie jednocześnie ze zmową plantatorow w okolicach Opola zaszły dwa inne fakty, wiele obiecujące: W najurodzajniejszym pasie gub. suwalskiej spółka ziemian nabyła bogate i rozległe dobra Giełgudyszki z miastem Szaki i 23 dobrze zabudowanymi folwarkami, od niemca, barona Franciszka de Keudell. Ogólna przestrzeń wynosi 22,000 morgów w tem 9,000 zupełnie urządzonego bardzo pięknego lasu. Majętność oddawna słynie z wzorowo prowadzonego gospodarstwa, stadniny angielskiej i niepospolitej rasy bydła. To też wspólnicy nie wahali się zapłacić gotówką odrazu 850,000 rs. W skład nabywców wchodzą: pp. Jan Świda, Aleksander Bołtuć, Stefan Wereszczaka, Józef Montwiłł (dyrektor wileńskiego banku ziemskiego) i Abdon Zan (radca komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego). Drugi fakt znamienny: W gub. kowieńskiej zawiązało się Towarzystwo zakupu i zbytu wszelkich produktów gospodarstwa rolnego. Celem jego jest: przedewszystkiem pomaganie ziemianom w tanien nabywaniu wszelkich narzędzi, nasion i wogóle przedmiotów niezbędnych w gospodarstwie rolnem, z drugiej zaś strony ułatwienie zbytu zboża i wszelkich produktów wiejskich. Nowa instytucya, do której przystąpiło już sporo właścicieli ziemskich, starać się będzie o zbliżenie rolników do spożywców i usunięcie kosztownego dla obu stron pośrednictwa spekulantów. Jak widzimy, oba te fakty mają charakter doniosły, ogólny i mogą być zapowiedzią szerszej gromadnej obrony przed zagładą ekonomiczną. W podobnej organizacyi ratunkowej rząd również znaczne ułatwienia poczyni. Między bowiem środkami, zapobiegającymi przesileniom rolniczym, komisya ministeryalna wskazuje zakładanie spółek i stowarzyszeń rolniczych ku wspólnej ochronie interesów ziemiańskich. Zamiast więc bezsilnego rozpaczania, suszenia głowy nad różnorodnemi kombinacyami ulg bankowych, poszukiwania nowych źródeł zasiłków, niemal dobroczynnych, rolnikom otwiera się szerokie pole do nowych sposobów zwalczania niemocy, skutecznie wypróbowanych za granicą. Nie pomoże kredyt choćiażby bezprocentowy, nie zbawi rozkładanie lub umarzanie rat zaległych, wszelkiego rodzaju ubezpieczenia od klęsk żywiołowych i t. d., tam gdzie przedsiębiorstwo rolne prowadzone jest siłami pojedyńczemi, w sposób pierwotny i kosztowny, gdzie wytwórca oddzielony jest od rynków zagranicznych lub spożywców wewnętrznych całą armią spekulantów i pośredników, wygrywających fałszywe alarmy dla zniżenia wartości ziemiopłodów. Zamiast wiecznego kołowania około melioracyi, odczytywania zwietrzałych referatów, odgrzewania projektów i suszenia głowy nad wypróbowaniem środków „nowych", których rezultaty znane już są gdzie indziej doskonale, pożyteczniejsze byłyby dla rolników zabiegi około stworzenia tego rodzaju spółek, jak właściciele Giełgudyszek, lub Towarzystwo w gub. kowieńskiej.

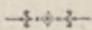
Rękojmią powodzenia i wzorem mogą być poniekąd kółka rolników francuzkich, istniejące od lat ośmiu. Nabywanie hurtowne dla danej okolicy przedmiotów niezbędnych w gospodarstwie rolnem, wyszukiwanie dróg zbytu dla ziemiopłodów — są to główne żądania syndykatów rolnych we Francyi. Zdołały one zdobyć ogromne ustępstwa przy nabywaniu maszyn, narzędzi rolniczych, żelaza i t. d. Stowarzyszenia między innemi zadaniami podejmują się zbytu i dostaw zboża tudzież inwentarza żywego na wielką skalę, dla zaopatrzenia różnych instytucyi dużo spożywających (w miastach) tudzież wojska. Zobowiązania takie dokonywane są z korzyścią obustronną bez wysiłków i takich zawodów, jakich u nas były przykłady przy dostawie ziarna intendenturze wojskowej, z braku działań zbiorowych, prawidłowo stworzonych. We Francyi stowarzyszenia rolnicze znalazły inne niż u nas warunki, wysoką kulturę i mało przestrzenie. W Królestwie zaś i w całem państwie organizacya zbiorowego warsztatu rolniczego na wzór produkcyi wielko-przemysłowej, ze względu na szerokie bogate przez naturę obszary, może mieć ogromną przyszłość tudzież przewagę w potędze i rozwoju nad innemi państwami, które na drodze udoskonaleń w wytwórczości rolnej prawie już wszystko zrobiły, co się tylko dało. Przedewszystkiem konieczne jest zdobycie wszelkich ułatwień doskonalenia produkcyi, a tem samem—zwiększenia wydajności.

Pod tym względem zasługuje na uwagę plan organizacyi ziemiańskiej, rozsnuty przez p. Glinkę w Towarzystwie rolniczem kijowskiem. „Na wielkiej przestrzeni państwa przy różnych warunkach klimatycznych powszechny nieurodzaj jest wyjątkowy, a nawet niemożliwy. Tym sposobem brak dochodu pewnego w danem gospodarstwie wynagrodzi zwiększony zysk w innem, położonem gdzie indziej". Już istnieją towarzystwa prywatne w pow. kaniowskim i lipowieckim, oparte na takiem obliczeniu, nie są atoli typem przez autora pojętym. Największe powodzenie, zdaniem jego, mogłyby mieć stowarzyszenia dla eksploatacyi dzierżaw majątków ziemskich. Nagromadzone przez p. Blocha szczegóły cyfrowe wykazują iż rola, pomimo średniej intensywności, daje w Królestwie Polskiem 4 — 20 rs. dochodu z morga, 7 — 30 w gub. wileńskiej: 4—35 w gub. kijowskiej. Owe cyfry średniego urodzaju i czystego dochodu, są zdaniem p. Glinki, niższe, niżeli w rzeczywistości, jako „oparte na źródłach urzędowych, których nieścisłość spowodowana łatwemi do zrozumienia przyczynami, dawno jest wiadoma i oceniona przez naukę. Cyfry te wszakże pomimo swej skromności, dostatecznie przekonywają, iż dochód w wielu miejscowościach bez względu na nieświetny stan gospodarstwa, znacznie przewyższa nie tylko procenty płacone przez banki od kapitałów, ale i dywidendy, osiągane przez akcyonaryuszów różnych przedsiębiorstw przemysłowych i fabrycznych. Nadto, nizka (?) cena dzierżawna ziemi, której watość sprzedażna w całem państwie nie przekracza w przeciętnem obliczeniu 45 rs. za dziesięcinę, sprzyja napływowi kapitałów obcych, szukających stałego i pewnego umieszczenia za niewielki procent. Taką pewność dać powinny i mogą akcyjne Towarzystwa rolnicze". Przy dzisiejszych atoli warunkach ziemia nie tylko nie przyciąga kapitałów, ale je, jak wiadomo, odstręcza. Mało jest obecnie takich śmiałków, którzy się odważają lokować swe sumy nawet w gospodarstwach jaką taką rękojmię dających. Rezultatem trudności w zdobyciu pieniędzy jest coraz większe zubożenie i wyczerpanie ziemi, coraz liczniejsze szeregi bankrutów, przejadających na bruku miejskim resztki, ocalone z mienia przez wierzycieli wydartego. Jest to nieunikniony rezultat szamotania się pojedynczego w dziedzinie najryzykowniejszej produkcyi. Ażeby to ryzyko zmniejszyć, trzeba działać na szeroką skalę, zawiązywać takie stowarzyszenia, które tracąc przez klęski żywiołowe w jednej miejscowości, zyskiwałyby obfite plony w drugiej, znacznie oddalonej.

Nie wnikamy w szczegóły projektu p. Glinki, nie chodzi nam o to, czy członkami takich stowarzyszeń, działających w różnych miejscowościach kraju, będą dzierżawcy, czy też właściciele ziemscy. Chodzi nam o samą myśl przewodnią, która w zasadzie może dać rolnikom jedyną drogę wyjścia z obecnego okresu ruiny i upadku. Produkcya rolna ze swej natury przedstawia większą sumę niepewności, niż wszelkie inne przedsiębiorstwa przemysłowe lub handlowe. Otóż ta niepewność przy zrzeszonem działaniu dałaby się ograniczyć do możliwie małych rozmiarów i chociażby ziemia nie przynosiła tak olbrzymich zysków akcyonaryuszom, jak np. cukrownictwo, dochody miałaby znaczne. Dzisiaj rolnictwo nie mo-

że być tylko na posługach innych odłamów wytwórczości wielkoprzemysłowej; jeżeli chce wybrnąć z zależności i nędzy, powinno wejść na poziom wytwarzania zbiorowego. Tą tylko drogą może zdobyć wszystko, o czem jego przedstawiciele marzą: wysoką kulturę, tanią produkcyę, bezpośrednią łączność ze spożywcą i zadowolenie jego przystępnemi cenami produktów. Ale zanim do tego dojdzie, cała zbyt złożona maszynerya musi uledz gruntownemu przekształceniu. Musi się wytworzyć przedewszystkiem liczna armia pracowników zdolnych, ułatwiona komunikacya za pośrednictwem dróg pomocniczych, liczne elewatory, słowem wszystko, co może uwolnić rolnika z zależności spekulacyi i lichwy, ułatwić mu obecnie bardzo kosztowne środki ulepszeń, zetknąć go bezpośrednio z rynkami międzynarodowymi i t. d. Ale wtedy rolnictwo stanie się tylko odłamem pewnej grupy wielkiej produkcyi. Do tej ogólnej nazwy powinien być wcielony dział produkcyi maszynowej w szerszych niż dotąd rozmiarach, jak gorzelnictwo, młynarstwo, wielkie tartaki parowe, krochmalnie i t. d. Na tak olbrzymich podstawach wytwórczość rolna wzmoże się i rozrośnie tylko wtedy, gdy się zaszczepi działalność zbiorowa, rozporządzająca olbrzymiemi środkami. Obecne pojedyncze w tej mierze przykłady u nas, tudzież coraz silniejsze utrwalanie się tego przeświadczenia, zarówno śród rolników, jak i sfer rządzących, że tylko połączonemi siłami można uniknąć zagłady ekonomicznej, wróżą pomyślniejszy zwrot w produkcyi rolnej. Naturalnie, zanim on nastąpi, jeszcze bardzo wielu zachwianych i zrujnowanych pójdzie na bruk miejski albo chleb oficyalistów, wiele rąk się wyciągnie ku kredytowi w różnorodnej postaci.

Zen. Piet.



PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ruch przemysłowy. W ostatnich dniach na rynku łódzkim silnie się zaznaczyło zwyżkowe usposobienie w cenach materyałów wełnianych, bawełnianych tudzież gotowych towarów. Przedewszystkiem zaś daje się to zauważyć w produkcyi przędzy bawełnianej, z dniem każdym drożejącej. Wogóle ceny przędzy bawełnianej, cieszącej się największem rozpowszechnieniem, poszły w górę o 35%, innych gatunków — 10—25%. Do zwyżki przyczyniły się cztery zjawiska: nieurodzaj zupełny bawełny amerykańskiej, mierny — ruskiej, długotrwałe (od jesieni), bezrobocie przędzalni angielskich i wreszcie nadmiar zapotrzebowania przędzy bawełnianej przez fabryki miejscowe, którego nie mogą całkowicie zaspokoić przędzalnie, niewystarczające w stosunku do mnożenia się tkalni. Od r. 1889 stale zmniejszała się liczba przędzalni bawełny w Łodzi, z powodu złych interesów, gdy tymczasem w tym samym okresie tkalnie wzrastały liczebnie, co właśnie wytworzyło nieprawidłowy stosunek tych dwóch rodzajów fabryk. Przemysłowcy narzekają także na brak odpadków bawełnianych, które również skutkiem bezczynności przędzalni angielskich przestały przychodzić do Łodzi. Z wyrobów bawełnianych gotowych zdrożały od nowego roku o $^1/_4$ kop. na arszynie bukskiny, podczas gdy jedno z towarzystw akcyjnych, z powodu nagromadzenia się w składach olbrzymich zapasów bojki lżejszej, z jednej strony drapanej, wbrew ogólnej zwyżce zniżyło cenę o $^3/_4$ na arszynie. Nie pozostanie bez wpływu na ruch przemysłowo-handlowy pożar fabryki Schlösserów w Ozorkowie. Pomimo pomocy straży ochotniczej leśmierskiej, tudzież zgierskiej i łęczyckiej, pięć gmachów fabrycznych do szczętu zgorzało; straty wynoszą około 500,000 rs., po za ubezpieczeniem w kilku towarzystwach. Na razie pozostało bez pracy około 300 robotników. W cenach przędzy z wełny czesankowej we wszystkich fabrykach krajowych od dwóch tygodni zaznaczyła się pewna zniżka, spowodowana podskoczeniem kursu rubla. Dotychczas zniżka ta w porównaniu z cenami najwyższemi, do jakich doszła przędza przed sześciu tygodniami, wynosi 75—100 kop. na paczce 10-funtowej. Pomimo to ceny obecne są jeszcze wyższe niżeli notowane w jakiejkolwiek porze, oprócz jesiennej, roku ubiegłego. Pognębiające wrażenie na wytwórców łódzkich zrobiła wieść o podstępnem bankructwie firmy charkowskiej i ucieczce do Ameryki jej właściciela, Fulksona. Wierzyciele łódzcy tracą na tem około 50 tysięcy rs.

Wkrótce zacznie działać w Warszawie fabryka drutu izolowanego, głównie dla zaspokojenia potrzeb wszelkich aparatów i przyrządów elektrycznych, dotąd zasilanych materyałem zagranicznym. Właścicielem zakładu jest krajowiec. Łódź zawiązała niedawno stosunki z Nerczyńskiem poraz pierwszy. Towary zamówione muszą przebyć drogę ośmiomiesięczną. Wielu kupców z Tyflisu przybyło również do Łodzi dla zrobienia znacznych zakupów. W ciągu r. z. przywieziono koleją do Łodzi 292,270 pudów bawełny i 130.000 pudów wełny. Gotowej przędzy bawełnianej i wełnianej razem dowieziono o 27,366 pudów więcej niż w r. 1891. Wywóz wyrobów gotowych koleją łódzką za rok zeszły wynosi 2,281,067 pudów czyli o 188,599 pud. więcej niż w roku poprzednim.

Rybołówstwo. Rada państwa zatwierdziła nową ustawę, która wejdzie w życie jeszcze na schyłku zimy bieżącej. Wszystkie zbiorniki wód podzielone będą na otwarte i zamknięte. Samowolne łowienie ryb w wodach zamkniętych będzie karane jako wykroczenie przeciw własności prywatnej. Osoba zajmująca się połowem na wodach cudzych, winna posiadać imienne upoważnienie. Rzeczoznawcy omawiają, które zbiorniki winny być bezwzględnie zamknięte dla łowienia, jako najdogodniejsze dla rozmnażania ryb. Zdanie ich ulega atoli zatwierdzeniu ministra dóbr państwa. Dla utrzymania obfitości ryb w wodach otwartych oznaczone będą terminy, w których łowienie ma być bezwarunkowo wzbronione; również oznaczone będą punkty, gdzie nie wolno łowić ryb i dokładnie opisane sposoby połowu. Kontrola nad wypełnianiem przepisów powierzona będzie specyalnej policyi, która czuwać powinna nad głównymi zbiornikami wód tam, gdzie rybołówstwo stanowi gałąź przemysłu. W innych miejscowościach dozór nad rzekami, stawami itd. powierzony będzie ogólnej policyi miejskiej i wiejskiej. Nadto ustanowieni będą specyalni inspektorowie rybołówstwa, podlegający władzy ministeryum dóbr państwa.

Cło. Od bawełny i jedwabiu surowego opłatę celną podwyższono (p. l. lit. A. pozycya 179 taryfy rs. 1 kop. 40 w złocie od puda; p. l. lit. B, rs. 1 kop. 55). Przy wywozie wyrobów bawełnianych z fabryk krajowych przez granicę europejską, do Persyi przez granicę morską i lądową zakaukazką, do Chin, okręgu nadmorskiego, cło zapłacone za materyał surowy, użyty do wyrobów, będzie zwracane. Od przędzy i tkanin surowych i bielonych rs. 1 kop. 50 w złocie, od przędzy, tkanin barwionych i drukowanych (oprócz koloru czerwonego adryanopolskiego) — rs. 1 kop. 70 w złocie. Od zabarwionej na kolor adryanopolski czerwony rs. 2 w złocie. Zwrot cła obowiązuje od d. 14 czerwca 1893 r., podwyższenie zaś — od dnia ogłoszenia tej ustawy.

Etat dochodów państwowych podaje: zwyczajne 961,222,143 rs.; źródła nadzwyczajne: wynagrodzenie wieczne rs. 3,536,335, wkłady do Banku Państwa na wieczne czasy rs. 1,200,000, kapitały specyalne rs. 5,937,574, z przeszłych operacyi kredytowych rs. 68,562,333, razem rs. 1,040.458,385, wydatków zwyczajnych rs. 947,690,385, nadzwyczajnych na budowę kolei i portów rs. 62,161,000, na zmianę uzbrojenia rs. 29,607,000, na przygotowanie specyalnych zapasów żywnościowych rs. 1,000,000, razem rs. 1,040.458,385. Dochody zwyczajne przewyższają wydatki zwyczajne o rs. 13,531,758. Do etatu wprowadzono na budowę kolei syberyjskiej: przestrzeni Czelabińsk-Irkuck z odnogą do Jekaterynburga i oddziały ussuryjskiego tudzież na tabor ruchomy dla tej drogi rs. 38,500,000. Budżet zamknięty nadwyżką, wywołał w sferach finansowych wrażenie dodatnie, giełda zaś berlińska skutkiem tego, podwyższyła kurs rubla.

— Od 13 stycznia w kasach komór celnych w obrębie państwa ruskiego banknoty niemieckie przyjmowane są nie podług kursu 30 rs. $^8/_{10}$ kop., jak dotychczas, lecz podług kursu 30 rs. $^2/_{10}$ kop. w złocie. Przy dotychczasowym do kas na komorach napływała znaczna ilość banknotów niemieckich, których wymiana wywoływała wydatki ze stratą na wadze otrzymywanego za nie złota.

— Ogólne zebranie ruskiego banku dla handlu zewnętrznego, zalecilo zarządowi poczynić starania u władzy o otwarcie filii w Moskwie, Odesie, Warszawie, tudzież w innych miastach, w miarę potrzeby. (*Mosk. Wied.*).

— W ostatnich tygodniach wywóz trzody chlewnej do Niemiec znacznie się zmniejszył z powodu zjawienia się choroby racic.

— Departament kolejowy przystąpił do opracowania przepisów o wydawaniu zaliczeń na zastaw różnych produktów rolnych, tudzież wyrobów przemysłowych.

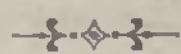
— Departament leśny dostarczać będzie osobom prywatnym środków do sztucznego zadrzewiania nieużytków. W tym celu przy leśnictwach rządowych powstaną składy nasion i szkółki drzew.

— Ministeryum skarbu znacznie powiększa w r. b. kontrolę nad fabrykami. Zamiast 32 inspektorów i ich pomocników, ustanawia komplet inspekcyi w liczbie 180 osób. Członkowie inspekcyi fabrycznej spełniać będą jednocześnie obowiązki mechaników gubernialnych, tych zaś ostatnich posady będą stosowane. Liczba inspektorów zależeć będzie od potrzeby miejscowej.

— Postanowiono stempel 80 kopiejkowy podwyższyć do rubla od następujących przedmiotów: testamentów, ksiąg pomiarowych, aktów sądowo-lekarskich i lekarsko-policyjnych, wydawanych na żądanie osób prywatnych, metryk, świadectw chrztu, metryk ślubnych, aktów zejścia, tudzież wogóle aktów stanu cywilnego i osobistych, świadectw o dymisye i beztermiowych dokumentów, (widów), dających prawo zamieszkiwania w pewnych miejscowościach.

PRASA RUSKA.

Emigracya galicyjska.



Warsz. Dniew. ogłosił sprawozdanie posła d-ra T. Okuniewskiego dotyczące wychodztwa ludu do Rosyi z powiatów zaleszczyckiego i borszczewskiego w Galicyi. Autor zbadał tę sprawę na miejscu i zetknął się bezpośrednio z włościanami. „Nasi — opowiada parobek z wioski bukowińskiej, Doroszowce — którzy przechodzą granice, przedewszystkiem powoływani są do przysięgi, potem każdy z nich wyciąga los na to, komu jakie pole się dostanie. Powiadają, że jeden wójt, który tu miał dziewięć morgów, wpadł także tam i wyciągnął los również na dziewięć morgów... Za to starszemu jego synowi dostał się cały folwark, a drugiemu duże mienie. Ludzie idą potem trzy dni do morza, potem sześć dni płyną, a nareszcie jeszcze pięć jadą podwodami i w końcu dochodzą już do miejsca".

P. Okuniewski, spotkawszy jakiegoś kamieniarza, w którego otoczeniu poznał dostatek, zapytał go: — Cóż, ojcze, sprzedajecie krzyże; czy to korzystne? — A no sprzedaję i dochód, dzięki Bogu, jest. — A podatku jeszcze nie płacicie? Chłop zbladł, rozmowa dalsza jakoś się nie kleiła, gdyż pomimo zapewnień, iż nie jestem inspektorem podatkowym, widocznie mi nie dowierzał. „Jestem przekonany, że gdy go podatkiem obłożą, przemysł jego upadnie, dostatek i zdrowie zniknie. Zrozumiałem także, dla czego z Doroszowic wyemigrowało do Rosyi tylko dwóch ludzi, podczas gdy z wsi galicyjskich wy-

szły całe setki. W miejscach tych ludzie nie są obarczeni podatkiem dodatkowym 15 — 20%, który ponosi przemysł".

W jednej z miejscowości badanych przez autora, działki pierwotnie wyznaczone dla włościan (r. 1867) wynosiły zaledwie po 9 morgów. Dziś te przestrzenie, skutkiem rozrostu rodzin, podzielono na dwie, trzy, a nawet i pięć części. Nieurodzaj trapi tych drobniutkich właścicieli od lat kilku; tymczasem podatki wzrastają stale. Gospodarz na dwu morgach płaci powinności ziemskiej wraz z ciężarami dodatkowymi i podymnem sześć złr. Dla zaoszczędzenia takiej sumy tudzież po potrąceniu kosztów uprawy pozostaje ojcu rodziny, złożonej częstokroć z kilkorga osób, zaledwie jeden korzec z całkowitego zbioru na wyżywienie, odzież, posyłanie dzieci do szkoły, pogrzeby, chrzciny i t. d. Prawda, nędzarze ci mogą się ratować zarobkiem we dworze. Ale warunki owego zarobkowania tak się przedstawiają w oświetleniu d-ra Okuniewskiego: Podczas żniw, a więc w chwili największego popytu pracy, robotnikowi na własnem utrzymaniu płacą po 25 centów dziennie; po żniwach 21; w jesieni i zimie po 18; dziewkom po 15, chłopcom po 12, 10 centów. Bywają tygodnie jesienne, w których wcale roboty niema. Dawniej przynajmniej dawano trzeci zagon na kukurydzę, gdzie była także fasola i tykwa. Obecnie także zagon taki otrzymują ci, którzy się zobowiążą w okresie robót najgorętszych odrobić w folwarku na żądanie trzy dni darmo. P. O. przytacza charakterystyczny fakt: jeden z właścicieli ziemskich potrącił robotnikom po 70 centów za każdy dzień zastrzeżony, w którym nie zjawili się do roboty. Istnieje także zwyczaj płacy nie dziennej, lecz od korca wykopanych kartofli, po 12 centów. Dzieje się to tam, gdzie urodzaj jest lichy, niepozwalający robotnikowi wykopać więcej nad jeden korzec dziennie. Pracują czasem za piąty zagon, jęczmień żną za 16 snop.

Do ruiny materyalnej znacznie się przyczyniają również żydzi, korzystając szczególnie ze sporów i nieporozumień spadkowych. Przy tej sposobności starają się za bezcen nabyć części gruntu i innym współwłaścicielom proces wytoczyć, naturalnie zawsze z rezultatem pomyślnym dla siebie. Przy tem rozwielmożniona lichwa i działanie machineryi podatkowej rujnuje do reszty: „przepadło nam podatku kilkaset guldenów — skarżyli się posłowi włościanie pewnej wioski. — Kasyerzy wraz z pisarzem wydawali ludziom kwity na drodze. Urząd podatkowy otrzymawszy sumę zebraną, znalazł niedobór i teraz każe nam płacić powtórnie. Pokazujemy kwity, a w kancelaryi urzędnicy mówią: kup markę herbową, wtedy napiszemy prośbę... Szkoła się wali, trzeba naprawić; dwuklasowa, dzieci 170. Nowy ciężar 5,500 guldenów. Skąd wziąć na to wszystko? Oto już trzy lata, jak panują takie susze, że ziarna zebrać nie można"... W wielu miejscach zaledwie po dwa worki można było zebrać z morga. Według obliczeń korespondenta, w jednej wsi przypada zaledwie siedm krów na 1027 osób. „Przyszło mi na myśl — pisze dr. Okuniewski — niedawne szumne rozprawy na sejmie o ulepszeniu ras bydła i o postanowieniu asygnowania corocznie 30,000 złr. na zakup stadników, za które owi nędzarze-chałupnicy płacić będą". W dalszym ciągu korespondent tak charakteryzuje położenie włościan tamtejszych: „...Gdy ich nie gniecie troska o chleb powszedni i uśmiecha się chociaż słaba nadzieja podźwignięcia się z niemocy ekonomicznej, pracują z energią nieustanną o chlebie jednym i usiłują grosz zaoszczędzić. Lecz jeżeli ziemi nie braknie o tyle, że z niej miesiąca jednego do roku wyżywić się nie mogą, wówczas tłumnie spieszą na pola folwarczne ażeby zarobić po 25 centów na własnym wikcie, spędzają jesienne chłodne noce u bram dworskich, ażeby się nie spóźnić na robotę, gdyż w przeciwnym razie ekonom ich nie przyjmie. Jeżeli włościanin, pracując z nieludzkim wysiłkiem od wczesnej wiosny do późnej jesieni rękami nabrzmiałemi od trudu i głodu, w odzieży zniszczonej, zarabia zimą tyle tylko, że zaledwie może chłodnemi kartoflami zagłuszyć głód dziecka, to czyż podobna się dziwić, że przyciśnięty rozpaczą, porzuca ten kraj nieszczęsny, w którym ginie z niedostatku?"... „Prawo o podatku dochodowym uwalnia odeń zarobki w rozmiarach 600 guldenów rocznie. Jakże się postępuje z chłopem, który nie zarabia nawet 50? Za najlichszą grządkę, za najnędzniejszą izbę, musi płacić podatek!" Autor tych słów przemawia za uwolnieniem od wszelkich tego rodzaju ciężarów przynajmniej tych włościan, którzy posiadają mniej niż po pięć morgów ziemi. „Ale któż w parlamencie austryackim lub sejmie galicyjskim głosowałby za tem? „Niech emigrują! — mówią niektórzy panowie — jeżeli im jest ciasno. My na ich miejsce sprowadzimy mazurów". Ten mazur zapewne nie będzie tak potulnym...

Za środki przeciwdziałające w znacznej mierze smutnemu położeniu ludu tamtejszego, pan Okuniewski uważa ulgi w obowiązkowem wnoszeniu do hypoteki gruntów włościańskich; prowadzenie spisu oddzielnych gospodarstw w sądzie sposobem protokularnym — bezpłatnie bez marek herbowych, aby wezwania były wręczane również bezpłatnie. „Ale czy się na to zgodzą? — kończy korespondent.—Wszakże nasi delegaci nie dawno zatwierdzili podwyższenie budżetu wojennego $3\frac{1}{2}$ miliona guldenów". Autor czyni wreszcie uwagę, że skoro lud szuka jedynego ratunku w emigracyi, niechże nie idzie na oślep, lecz najpierw wyśle ze swego grona wytrawniejszych na zwiady, którzyby mogli towarzyszom wskazać odpowiednie miejscowości do kolonizacyi i zapoznać ich poniekąd z nowymi warunkami bytu.

KRONIKA.

Dar pamiątkowy. Cechy warszawskie ofiarowały czcigodnemu gen. Starynkiewiczowi, b. prezydentowi Warszawy, srebrną szkatułkę pamiątkową, w której mieści się ozdobne album.

Nowa gwiazda... teatralna zabłysła, a raczej zaśpiewała na horyzoncie naszej opery. Jest nią panna Mira Heller, obdarzona pięknym, pełnym i wyrobionym głosem mezzo-sopranowym. W *Mignon* oczarowała słuchaczów. Jest to gardło wielkiej przyszłości.

Biuro porady prawnej otworzyli adwokaci warszawscy: Flamm, Kokeli, Świderski i Korenfeld. Biura takie, prowadzone — jak w obecnym wypadku — przez ludzi zdolnych i sumiennych, są dobrodziejstwem dla wszystkich, którzy nie znając przedstawicieli palestry, powierzają swe sprawy na traf albo obrońcom niedołężnym i niepewnym, albo wpadają w sieci pokątnych doradców. Każdy inteligentny warszawianin wie do kogo się udać w potrzebie; ale iluż mieszkańców prowincyi, zwłaszcza prostaczków idzie za radą zwyczajnego faktora! Takich biuro ochroni od wyzysku i zawodów.

Sprawy społeczne. Ponieważ wysoka stopa procentowa, pobierana przez prywatne lombardy w znacznej części tłomaczona jest kosztami administracyi, w tem—taksowaniem przedmiotów, władza więc zobowiąże właścicieli fanciarni, ażeby wyznaczona stopa przy pożyczkach krótkoterminowych, ponownie przy prolongowaniu, jako też powtórnego taksowania, była zniżana.

Sudiebn. gaz., donosi, iż przy ministeryum skarbu utworzona będzie specyalna komisya do przeszacowania podatku gruntowego, gdyż nie jest on rozdzielony równomiernie. Dla wielu okolic bardzo uciążliwy, dla innych za nizki w stosunku do dochodów otrzymywanych z ziemi.

— Wyjaśniono, iż żydzi nie mogą być syndykami upadłości, w zasadzie bowiem nie są dopuszczani do żadnych urzędów publicznych lub sądowych (z małymi wyjątkami w ustawodawstwie miejskim). Z resztą charakter i działalność syndyka są wybitnie samodzielne, decydujące; jest mu bowiem powierzane nie tylko całkowite mienie dłużnika, lecz i los wszelkich wierzytelności, należących do licznych osób. Z tych względów żydzi takich stanowisk zajmować nie mogą, według stanowczego orzeczenia wyższej władzy.

— Kamienicznicy są niepoprawni w zamiłowaniu do oszczędności kosztem zdrowia swych stróżów. Znowu rewizya w domu pod Nr. 13-ym przy ulicy Nowowiejskiej wykryła, iż lokal stróża z wilgoci i braku światła dziennego całkiem jest nieodpowiedni na mieszkanie. Lokator zaś tej dziury oddany na usługi właściciela domu, nie posiada ani kożucha, ani ciepłego obuwia pomimo uciążliwych mrozów.

— Z powodu silnych mrozów, w wielu fabrykach warszawskich robotnicy otrzymują bezpłatnie gorącą herbatę.

Graždanin donosi, iż w kraju południowo-wschodnim wkrótce nastąpi ostateczny podział gruntów i skasowanie służebności. Oznaczono normy wynagrodzenia włościan za serwituty, przy czem wzięto na uwagę ilość inwentarza.

— Na przedmieściu Ochota za rogatką jerozolimską otwarto tanią kuchnię ludową, urządzoną z ofiar dobrowolnych.

— Nowa ustawa o strażach ogniowych, przyjmuje za zasadę obowiązkowe organizowanie wszystkich straży, tudzież ustanawia surowe kary za niezachowanie ostrożności zapobiegających ogniowi.

— Ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało okólnik, w którym pragnie za pośrednictwem władz miejscowych zebrać wiadomości o położeniu uczniów rzemieślniczych.

— Przy bankach szlacheckim i włościańskim, utworzone będą posady inspektorów, dla rewizyi majątków, znajdujących się pod zarządem instytucyi kredytowych.

Szkoły. Wyższa władza poleciła zamknąć w Warszawie szkołę froeblowską p. Heleny Kaplińskiej przy ulicy Żelaznej Nr. 50, za przekroczenia przeciw zatwierdzonemu programowi.

— Uniwersytet warszawski do d. 27 b. m, przyjmuje rozprawy od studentów wydziału prawnego, ubiegających się o medal srebrny. Tematy: z historyi prawa słowiańskiego, z prawa cywilnego, karnego i ekonomii politycznej.

— W Warszawie przy gimnazyum II-em z początkiem roku szkolnego urządzony będzie pensyonat dla uczniów.

— *Now. Wr.*, donosi, iż czasowo zarządzający Instytutem agronomii i leśnictwa w Nowej Aleksandryi prof. Dohuczajew, zasypany jest prośbami młodych ludzi ze wszystkich krańców Rosyi o przyjęcie ich do przekształconego zakładu.

— We Lwowie krajowa rada szkolna zaprosiła dyrektorów galicyjskich szkół średnich dla rozstrzygnięcia pytania: jak możnaby unormować stosunek szkolny do nadzoru domowego uczniów.

— We Lwowie otworzono dla kobiet specyalny kurs bezpłatnej stenografii.

— Gimnazyów w Galicyi jest obecnie 29 (24 polskie, 2 niemieckie, 2 utrakwistyczne i 1 rumuńskie). Realnych 4. W całej Austryi gimnazyjów 178, szkół realnych 79. Czechy pod względem uczebnym o wiele przewyższają Galicyę (54 gimnazyów i 21 szkół realnych).

Sprawy kolejowe. W etacie kolei Wiedeńskiej na r. b. oznaczono 6,000 rs. dla wicedyrektora i razem — zastępcę dyrektora. Stanowisko to ma zająć inż. Korybut-Daszkiewicz.

— Na kolei Nadwiślańskiej gratyfikacyę mogą otrzymywać tylko ci, którzy przesłużyli cały rok 1891 i 1892 nie mieli awansu w r. z., nie byli karani i nie korzystali z dłuższych urlopów. Naczelnicy wydziałów przy układaniu listy kandydatów do tej nagrody, powinni mieć na względzie nie położenie rodzinne i materyalne, lecz gorliwość w spełnianiu obowiązków służbowych i pożyteczność pracy. Na ten cel wyznaczono rs. 17000.

— Od 13 b. m. koleje Moskiewsko-Kurska i Orembурska przeszły pod władzę rządową. Tę ostatnią przyłączono do Samarsko-Złotoustowskiej.

— W ostatnich czasach zwrócono uwagę na potrzebę nowej kolei od Ostrowca (drogi Dąbrowskiej) przez Opatów do Sandomierza. Linia ta byłaby nadzwyczaj dogodna i korzystna, tem bardziej, że połączyłaby się z galicyjską. Projekt przesłano do ministeryum komunikacyi.

— Departament kolejowy ogłasza konkurs na wynalezienie najlepszego przyrządu do odrzucania przedmiotów, napotykanych przed parowozem w biegu.

Wystawy. W Rydze otwarto wystawę artystyczno-rzemieślniczą.

— W Paryżu odbędzie się wystawa dziennikarska w maju r. b.

Zdrowie publiczne. Na wzór utworzonego komitetu w Warszawie dla walki z epidemią, urządzone będą takie same posterunki ochronne w Lublinie, Piotrkowie, Siedlcach i Kielcach. Przypuszczać atoli trzeba, iż

organizacya takiego przeciwdziałania nie ogranicy się tylko na miastach powyższych.

— Wszystkie dobroczynne szpitale, lecznice i ambulatorya postanowiono oddać pod władzę departamentu lekarskiego ministeryum spraw wewnętrznych.

— Cholera nie wygasa ani u nas, ani na zachodzie Europy. Tu i owdzie zdarzają się niemal codzień pojedyncze wypadki zachorowań i śmierci.

Dobroczynność publiczna. Tegoroczny bazar przedświąteczny, urządzony w Mińsku gubernialnym na rzecz miejscowego Towarzystwa dobroczynności, dał lepsze rezultaty niż w latach ubiegłych. Zebrano brutto 6,500 rs. Zysk czysty prawdopodobnie nie wyniesie więcej nad 2000 rs.

— W Płońsku powstała herbaciarnia dla biednych ze składek ludności miejscowej.

Wiadomości literackie. Redakcyę *Przeglądu lekarskiego* w Krakowie objął dr. Stanisław Domański. Kierownictwo zaś *Przewodnika hygienicznego* tamże — dr. Paweł Radecki.

Doniesienia urzędowe. Generał-gubernator wileński I. S. Kochanow, zostaje członkiem rady państwa, jego miejsce zajął gen. Orżewski.

Zmarli. Adela z Wieczorkiewiczów Kirchszerowa, w Warszawie. Ur. r. 1865. Współpracowniczka *Zorzy* i *Gazety rzemieślniczej* (w tej ostatniej pisywała feileton „Złe i dobre"). Nadto umieszczała swoje nowelki w *Dzienniku dla wszystkich* i *Gazecie lubelskiej*.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Woj. Sz. w Zakopanem. Najlepiej obznajmi Pana z tym przedmiotem A. Langego *Historya materyalizmu*, 2 tomy, Warszawa. Co do drugiego żądania jest ono niewykonalne. Gdybyśmy chcieli wskazać Panu „wszystkie dzieła, broszury, pisma itd. w językach polskim, francuskim i niemieckim" tej treści, musielibyśmy na to poświęcić około roku czasu.

H. W. O. „Taniec" jest wierszem ładnym, a byłby ładniejszym, gdyby sam obraz tańca szkieletów nie został zarysowany tylko paru krukami, skutkiem czego nie ma dostatecznej siły.

P. Zyg. Ram. P. Kozłowski daje następującą odpowiedź na pytanie Pańskie: Według ilości azotu można oznaczyć białko tylko wtedy, gdy niema innych substancyj azotowych. Ponieważ zaś w roślinie znajdują się zwykle ciała amidowe, których ilość może przewyższać 40% wszystkich substancyj azotowych (jak w buraku), więc metoda ta, dawniej używana, została zarzucona od czasu, jak Stuzer dał metodę oddzielania białka od amidów za pomocą wodanu miedzi. Na pytanie, jaką metodą należy się posiłkować w analizie organicznej — należałoby odpowiedzieć całym tomem. Odsyłamy więc do dzieł, które tym przedmiotem się zajmują, jak Barfoeda, Vortmanna, Draggendorfa i in.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Января 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.